

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 24 II. 1952 r.

Nr. 8 (342)

HENRYK GAWORSKI

POWRÓT

Wrócił po paru latach z walizą, której nie miał, gdy od troski garbaty opuszczał swoją ziemię.

Wtedy świeciło słońce, skowronki chwały lipiec i wiatr na polach wasy targał kłosem pszenicy.

Na miedzy pachniał powój, plątał się pod stopami — Ten dzień płowy, lipcowy jak powój oplół pamięć.

Życie we wsi, jak strumień wąskie — w przesądach zielsku. Poznał to i zrozumiał w dniach harówki i tęsknot.

A przecież szukał traktu, który prowadzi do wsi, gdzie chleba nie zabraknie — tak się pszenica kłosi.

Drogi powrotu szukał — ścierał skórę na barkach. Droga — długa nauka prowadziła przez Partię.

Wrócił do wsi bogatszy o świadomość biedniaka. Na wieś — na życie patrzy w ziemię, w niebo bez blasku.

Nieprzypadkowe i lyse drzewa w śnieżnym bandażu, mróz w oknach chałup szklę się, dymy po dachach łążą.

Stoi człowiek na śniegu i wie:

wieś już spółdzielcza i dlatego, dlatego piękniejsza i weselsza.

Miedzy ścianami z drewna, miedzy grzybami stodół, płonie czerwona cegła — życia rumieniec młody.

Długie spółdzielcze stajnie, dalej — pomowski wozniat. Słuchaj, gwarzą kombajny, a może traktor parska? —

Traktor? — Dzisiaj niedziela, to głos harmonii słychać. Po szerokich pół bliach zatacza się muzyka.

Hu-ha — śpiewają chłopcy, hu-ha — odrzuca echo. Leci piosenka po wsi, wzwyż się drapie po strzechach.

Dziewczęta zadyszane, z oddechów — kłęby pary jak mgła suną po ścianach, wieś cała we mgle szarej.

Przeciera człowiek oczy: przed nim drewno i słoma. Dymu powrós ruchomy wieś do ziemi przytroczył.

Spółdzielnia — śmiały zamiar, sprawa do załatwienia. Droga, którą śnieg zwał, przyniesiono marzenia.

A no — zaczniemy rychno: wiosenny siew za pasem. Ludzie muszą przywyknąć — do siewu trzeba by razem.

A jeśli się nie uda? — Bogacz — ten radość miałby. A no — zbliża się próba, wnet weźmiemy się za lby.

Dźwignął człowiek walizkę, postawił kolnierz palta. Wioska jak nigdy bliska, i jak wieś bliska walka.

Żegnajcie, towarzyszu — dalszy ciąg tej ballady wasze ręce napiszą. Ułoży ją gromada.

NAUCZYCIELE ZE SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNYCH...

Zamieszczamy poniżej kilka wypowiedzi nauczycieli ze spółdzielni produkcyjnych o nowym tomie opowiadań St. Piętaka pt. „Wspólna dolina” oraz odpowiedzi autora.

Czytelnicy, krytycy i pisarze mają tu okazję spotkać się z tzw. „krytyką terenu”. Celowo zamieszczony większy zbiór wypowiedzi ułatwi zainteresowanym ocenić walory i niebezpieczeństwa, płynące ze spontanicznej krytyki terenu.

Wypowiadający się najbardziej są wyczuleni na sprawy, które dotyczą ich zawodu, albo zadań, jakie podejmują, jako działacze społeczni. Dlatego w naszym „plebiscycie” sprawa spółdzielni produkcyjnej i nauczyciela wraca ustawicznie. I bardzo swoiście. Z autorem rozmawiają „gospodarze terenu” i dlatego bardziej prawują się o to, czego w opowiadaniach brak (u. Piętaka spółdzielnia produkcyjna z r. 1949). Dla nich, którzy pracują w spółdzielniach od 2 — 3 lat potrzebny byłby do agacji utwor, obrazujący rozwój i osiągnięcia kolektywów spółdzielczych.

Dlatego krytyk i pisarz łatwo dojrzą, jak „Wspólna dolina” stała się pierwszą z brzegu okazją dla nauczycieli — spółdzielców do wypowiedzenia uszczegółowionych postulatów pod adresem pisarzy: co chcieliby czytać w powieściach i opowiadaniach o spółdzielniach i dlatego.

Redakcja otwiera dyskusję nad przedłożonym „plebiscytem terenowej krytyki” i — zapraszając chętnych — zastrzega sobie prawo podsumowania dyskusji i wyrażenia swego stanowiska.

REDAKCJA

BRONISŁAW STRYZEWSKI

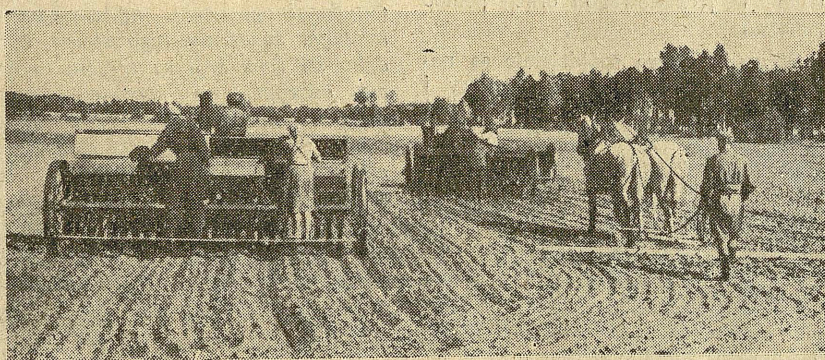
RZECZYWISTOŚĆ DAJE WIĘKSZĄ PERSPEKTYWĘ

CZYTAJĄC „Wspólną dolinę” odniosłem wrażenie, jakby książce brakowało tego, co można by nazwać zachwycającą perspektywą dla czytelnika, szczególnie dla chłopca, który jest najbardziej zainteresowany zagadnieniem spółdzielczości produkcyjnej. Wydaje się, że autor pragnął w całej sile przedstawić problem walki klasowej na wsi, ale za mało zwrócił uwagi na to, co jest pozytywnym osiągnięciem spółdzielni na obecnym etapie. Czytelnik wiejski, a szczególnie bardziej nieuimy chłop, czytając tę książkę dozna pewnego przygnębienia. Bo choć nie twierdzi, że walka klasowa, przedstawiona w książce nie posiada cech realnych, ale ukazywana jest zbyt anarchicznie. Wygląda tak, jakby we wsi nie istniała żadna organizacja polityczna i społeczna.

A trudno uwierzyć, żeby jednostka, w osobie Władka i politycznie niewyrobionego księgowego Gierczaka, mogła przy nikłej pomocy jakiegos mglistego określonego kolektywu kierować spółdzielnią i walką klasową na tak szeroko zakrojoną skalę. Brak tu czegoś — brak tej dynamicznej siły, którą nazywamy „zbiorowością”. Wszędzie i zawsze, szczególnie na dzisiejszym etapie aktyw wiejski, ja-

farza koła partyjnego. Po analizie miejscowych warunków gospodarczych zaświliła mi myśl zorganizowania spółdzielni produkcyjnej. Szkółę powiązałem ściśle z nurtem życia wiejskiego, zespoliłem ją mocno z organizacjami politycznymi i społecznymi. Aktyw wiejski, który wyłonił się w czasie wielu rozmów uświadamiających zaczął kierować walką klasową w gromadzie. Szkoła w oparciu o silny aktyw polityczny wsi przystąpiła do urządzania atrakcyjnych imprez artystycznych, obracających się wokół zagadnienia spółdzielczości produkcyjnej. Już w grudniu tego, samego roku zgłosiło chęć przystąpienia 12 osób. Ostatecznie do założenia spółdzielni przystąpiono w lutym 1950 r. W pięknie udekorowanym budynku gromadzkim nie zabrakło nikogo, nawet tych, którzy z niechęcią odnosili się do agitatorów spółdzielni. Statut spółdzielni podpisało 34 członków.

Początki były trudne, zebrania obfitowały w kłótnie i to często na podłożu klasowym, ale umiejętna praca koła partyjnego i ZSL-u, szkoły oraz ścisły kontakt z władzami partyjnymi, CRS-em, ZSCh i POM-em powoli, ale ze skutkiem przeobrażały naszych spółdzielców. Byli owszem i tacy



ko uosobienie zbiorowości powinien i musi występować, jako produkująca siła, zdolna do kierowania gromadą.

I właśnie dlatego należało z całą mocą podkreślić ofiarę i bezkompromisową działalność zbiorowości, w postaci organizacji partyjnej i organizacji społecznych, a także wypuklić pomoc i opiekę państwa ludowego. Pokazuje książka ujemne strony spółdzielni jak: występowanie członków, trudności w rozbudowie i w samej pracy przy zbiorach.

I znowu pytanie — gdzie jest aktyw spółdzielni? — gdzie jest opieka państwa ludowego? — gdzie jest ZMP, szkoła itd?

Aktyw spółdzielni, organizacje polityczne, społeczne i POM stanowią w połączeniu siłę, która trzeźwo myśliciego człowieka a w szczególności chłopca musi chwycić za serce i przekonać o słuszności rozwoju spółdzielni produkcyjnych.

Autor kończąc utwór wieńczy go wprawdzie powodzeniem, spółdzielnia przezwycięża trudności i staje na właściwej drodze rozwoju, ale jest to wszystko za mało, ponieważ dopiero pełny obraz, uwypuklający osiągnięcia już istniejących spółdzielni, przekonania czytelnika wiejskiego, że rodzą się spółdzielnie są pełne żywotności i że żadna siła nie jest w stanie zahamować ich rozwoju.

Takie stanowisko wobec książki Piętaka uzasadnić chciałbym moim bezpośrednim udziałem w życiu spółdzielni produkcyjnej w Bagarcie, pow. Sztum, woj. gdańskie. Przybyłem do tej gromady w 1949 roku, gdzie obajłem stanowisko kierownika szkoły. Tam też wybrany zostałem na sekre-

czonkowie, którzy pod wpływem podszepłotów wroga chcieli wystąpić ze spółdzielni. Tłumaczyli zarządowi, że nie posiadają żadnych zapasów i w pierwszym roku będą skazani na głód. Ale przy pomocy aktywnego zarządu zdolaliśmy przełamać tę trudność. Zdobyliśmy środki zaradcze, jak załóżki i zapomogi w zbożu i przetworach zbożowych. Wróg bił w istotne zagrożenie, kiedy więc usunęliśmy je, „uciekierzy” stracili i w swoim własnym sumieniu powód do odejścia. Natomiast tych, co chcieli mieć i utrudniać pracę pozbawiliśmy szybko i zdecydowanie praw członkowskich.

W grudniu tego samego roku przystąpiło do spółdzielni 3 nowych członków — biednych chłopów. Jakże inaczej wyglądało to przyjmowanie po roku! Już nie było kłótni o ilość wkładów, kandydaci podawali motyw

wy świadomej decyzji, w której nie grała już tej roli strona materialna, jaka w początkowej fazie miała z punktu widzenia członków pierwszorzędne znaczenie (np. wkład do spółdzielni). Rok 1951 to rok poważnych i przekonywujących sukcesów gospodarki spółdzielczej. Jest światło elektryczne i radiowęzeł — wszędzie rozbrzmiewa wesoła muzyka z zainstalowanych głośników. Widać piękny budynek przedszkola i żłobka. W obrotach 40 krów holenderskiej rasy i 8 czystokutkich cieląt. W stajni 20 koni — więcej nie potrzeba, są maszynny w POM-ie, one nam popracują lepiej i taniej. Obora jak i stajnia wyposażone w wodociąg z elektrycznym napędem. Nie na tym koniec naszej urbanistyki — jest jeszcze piekarnia, sklep spożywczy, zaopatrzoney obficie w artykuły pierwszej potrzeby, a e-

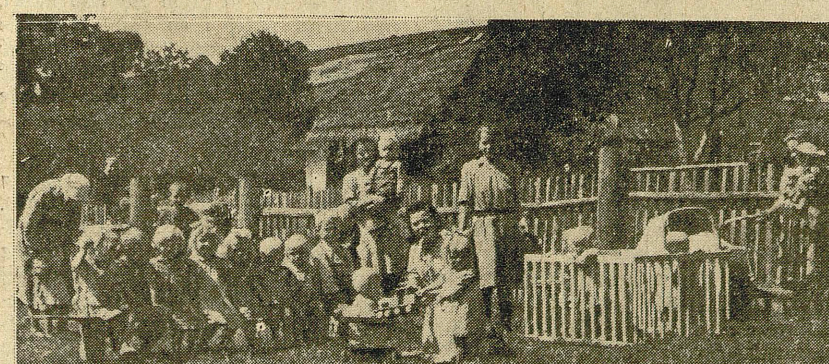


Foto WAF



kipy łączności miasta ze wsią bywa- ją prawie co niedzielę. Zebrania zarządu i ogólne zebrania to prawdziwa kuznia planowania, narad i kontroli, radzą wszyscy i zawsze w oparciu o kolektyw społeczny gromady. Podając tych kilka luźnych faktów chcę przez to wskazać, jaką książkę pragnąłbym czytać o spółdzielni produkcyjnej. Wydaje mi się, że wyrażam w tym projekcie również pragnienia tych wszystkich chłopów, którzy się jeszcze ociągają i wahają. Bo co innego, kiedy oni jeszcze nie są przekonani i mają różne wątpliwości, a co innego, kiedy biorą książkę o o. spółdzielniach. Właśnie, jako czytelnicy chcieliby być przekonani, mało — porwani. I dlatego będą zawsze rozczarowani książką, która ich pozostawi w niejasnościach, która ich nie chwyci. Bronisław Strzyżewski

STANISŁAW TALARCZYK

ŚRODOWISKO NIE POGŁĘBIONE

ŚRODOWISKO pierwszego opowiadania St. Piętaka zarysowuje się bardzo niewyraźnie, a przecież dzieje głównych bohaterów Wojtka i Marysi, aż się proszą o pogłębienie obrazu wsi. Skoro Wojtek doznaje ze strony kuliaka Chojnickiego ustawicznych zniewag, dlatego odbijają się one słabym echem w gromadzie? Dlaczego Kasper ratuje bezradnego Wojtka od ostatecznej zagłady, przybierając postać jakby dobroczyńcy, bo niesposób zorientować się w motywach jego pomocy, ani w jego pozycji w gromadzie.

We wsi wre walka klasowa, ale w tej walce, jako siła zorganizowana występuje tylko wróg, bo tzw. „nadszalenie” okazują się bojaźliwi, niezdolni do samodzielnego, zorganizowanej akcji. Wprawdzie Wojtek, Kasper Latawiec, Teofil Pyłka, Jan Strycharz i inni „nadszalenie” zbierają się na placu gromadzkim wieczorem i zwracają ze swoich zmarłowień, ale do walki nie są zdolni.

Jednym pocieszeniem dla nich jest głos Kaspiera Latawca: „jeszcze mieszacie, jeszcze dwa, a rząd zrobi z nimi porządek”.

Czy moje zarzuty są słuszne? W części na pewno nie. Przecież Piętak opisuje w tym opowiadaniu rok 1945 (może 6-ty?). Ale w części jest podtrzymuje. Bo, albo autor chciał przedstawić wsi, w której nie walka się rozgrywała, a pogrom biedniaków, ale wtedy należało ukazać wszystkie warunki, uzasadniające taką sytuację. Albo autor chciał ukazać to, co było typowe wówczas. A typowa była dynamika rewolucyjna o charakterze często wojennym. Walka toczyła się na śmierć i życie. Iuż padło chłopów partyjnych A „nadszalenie” stanowią wówczas element najbardziej ożywiony. I nie tylko czekali na

„rząd, który z kulakami zrobi porządek”. Natomiast kulak Chojnicki walczy wyraźnie, oczywiście o ustrój obszarowo - kapitalistyczny i bynajmniej nie maskuje swego wrogości stosunku do emancypującej się biedy.

Mówi do Wojtka: „Ty nie jesteś człowiekiem, diad to nie człowiek. Świat jest dla takich, jak ja, zapamiętaj to sobie!” Wydaje mi się, że te metody walki, tego stylu przemawiania kulacy unikają, bowiem prowadzą do podniesienia świadomości biedy wiejskiej na wyższy poziom, czego kulacy najbardziej się obawiają.

Nie ulega wątpliwości, że główny kierunek uderzenia bogaczy w walce klasowej na wsi był skierowany na zamazywanie walki klasowej, przy równoczesnym utrzymywaniu biedy w zależności ekonomicznej.

Wysięk kulaków szedł w kierunku zbudowania frontu wsi przeciwko władzy ludowej. Wykorzystywali oni dlatego tradycyjną nieufność wsi do kapitalistycznego miasta, podstawiając pod ten obraz rewolucyjną klasę robotniczą. Bardziej realistycznie jest przedstawiona postać kuliaka w opowiadaniu „Dobroć kuliaka”. Dul jest człowiekiem chytrym i dwulicowym wobec swego parobka Henryka. Dul zdaje sobie sprawę na swój sposób z tego, że wyszkiwana młodzież ma swoją klasową organizację, że jest ona czynnikiem przyspieszającym rewolucyjną przemianę na wsi.

Dul tak formułuje kulacką taktykę walki: „W każdym razie trza mu oobecnie pochelebiać, trza nie jak dawniej”. Walka ta doprowadziła do pełnego wyzwolenia Henryka, ponieważ w obronie wyszkiwanego stangela organizacja ZMP-owska oraz władza ludowa.

Ostatnie opowiadanie „Wspólna dolina” odznacza się większym ożywieniem akcji i bogatszą problematyką. Walka klasowa przejawia się tutaj w bardziej różnorodnych formach. Ale problematyka samej spółdzielni jest potraktowana zbyt skąpo. Mózgiem całej spółdzielni jest Władek, który uginą się pod ciężarem różnych trudności i działa w samotności. Pozostali członkowie są raczej bierni.

Akcja urywa się nagle w okolicznościach mało ważnych dla głównego wątku opowiadania. Wydaje mi się, że należało zakończyć opowiadanie jakimś większym zwycięstwem spółdzielców, pokazać przez to radość i perspektywę.

Stanisław Talarczyk

ALOJZY KOMOROWSKI

Przegląd opowiadań

POSZCZEGÓLNE opowiadania St. Piętaka wiążą się w całość na zasadzie jednoci problemu. Jest nim sprawa drogi chłopstwa do spółdzielczości produkcyjnej. A więc temat, który przewija się bardzo często na łamach prasy codziennej a nawet i literackiej, temat pracujący już nieraz w formie reportażowej i powieściowej.

W pierwszym opowiadaniu widzimy wieś w okresie bezpośrednio powojennym, tuż po nadaniu bezrolnym i małorolnym chłopom obszarowej ziemi. Państwo ludowe, wyniszczone działaniami wojennymi i eksploatacją polityką gospodarczą hitlerowskiego najedźcy, zmagające się ciężko z rodzimą reakcją i subsydiowanymi przez monopolistyczny kapitał bandami podziemnymi, nie mogło w toku rewolucji zapewnić od razu pełnych warunków rozwoju nowopowstałym gospodarstwom chłopskim. Tę właśnie sytuację wykorzystywał kulak. Eksploatowany przez niego lata całe parobek nabrał właśnie oddechu i osiadł na własnej ziemi. Nareszcie wolny człowiek, gospodarujący z trudem, musi prowadzić ciężką walkę z silnym ekonomicznie kulakiem. Oto — tło polityczne pierwszego opowiadania. Pomijam treść, która jest dla pierwszych lat po wojnie typowa i zreczenie przez autora przedstawiona.

Ciekawe także i typowe jest drugie opowiadanie, które — rzeczy można — przedstawia dialektyczną jedność przeciwności w ramach indywidualnego, drobnokapitałistycznego gospodarstwa chłopskiego. Niekończące się spory o każdą morgę ziemi — często piaszczystej i nieurodzajnej. Wreszcie problem starości i działoł rodzinnych. Zniechędzeni już i spracowany chłop, często nawet średniorolny spędza lata starości w stajni lub oborze — przymierając głodem. Głód ziemi, ciągła niepewność jutra, widmo proletariatu, wzrastająca zależność od elementów kulackich, banków i Izb Rolniczych — oto sytuacja chłopca okresu międzywojennego. Trudno w takich warunkach mówić o szczęściu i spokojnej starości, kiedy syn wyrzuca ojca z domu, aby się pozbýć „darmozjadą”. W tym opowiadaniu pokazał autor swoje bystre i wnikliwe oko. Ten kilkunastostronowy obrazek ma wielką wymowę, ponieważ przypomina o nędzy życia chłopskiego w warunkach kapitalizmu.

Z innych opowiadań rozbudował autor bardziej „Dobroć bogacza” i „Wspólna dolinę”. Pierwsze z nich ukazuje typowe metody walki stosowane przez kulaka. Oto wielomorgowiec Dula ogłupia psalmami swego parobka Henryka, drzy na myśl, że wyszkiwany mógłby się dowiedzieć prawdy z gazet. A jednak bardziej uświadomiona młodzież wyrwa parobka ze szponów bogacza. Problem istotny, przedstawiony barwnie i żywo — jednak w sposób niepełny. Nie wszyscy jeszcze członkowie ZMP, zwłaszcza na wsi — są ideologicznie dojrzałi. Jakże często popielnią grupę nieraz pomyłki polityczne. Należało jednak pokazać jak organizacja młodzieżowa rosła i przezwycięzała braki w pracy.

Pisarz w kapitalny sposób pokazał przekupstwo, które jeszcze się przytrafia, dzięki przemycaniu się do aparatu władzy terenowej elementów wrogich naszemu państwu ludowemu. Przykładem tego — sekretarz powiatowego sądu Władysław Kulak, dzięki dającym się przekupić urzędnikom typu Władysławskiego, przepisuje swoją ziemię na córki, braci i innych krewniaków, by uzyskać obniżkę podatkową i wprowadzić w błąd władzę ludową w Polskę.

Podnosząc fakt, iż Stanisław Piętak plastycznie i przekonująco przedstawił machinację wroga klasowego, tym ostrzej należy podkreślić brak pełniejszego opisu rozwoju i działalności przedstawicieli obozu postępu.

Ostatnie opowiadanie, którego tytuł nosi całość, jest jakby jej ukoronowaniem. Przedstawia proces powstawania nowej, socjalistycznej wsi spółdzielczej. Dzięki szepłanej propagandzie kulackiej następują wypadki wypisywania się członków z kolektywu. Poważny zarzut, jaki pod adresem autora chce rzucić, to sprawa nowego nauczyciela na wsi, którego St. Piętak nie dostrzegł. W samym powieście śremskim, gdzie pracowałem, istnieje około 25 wsi spółdzielczych, powstałych w dużej mierze dzięki ofiarnej pracy nauczycielskiej.

Mimo pewnych braków opowiadanie jest w zasadzie przekonujące, a

Alojzy Komorowski

Nauczyciele ze spółdzielni produkcyjnych...



WŁADYSŁAW ALFAWICKI

JEST O CZYM MARZYĆ...

KSIĄŻKĘ p. t. „Wspólna dolina” przeczytałem z dużym zainteresowaniem i uważam, że mimo braków jakie posiada, wnosi wkład w dzieło popularyzacji spółdzielni produkcyjnych. Jasno zostały przedstawione dwie „dusze” chłopów (robotnika i posiadacza średniaka) oraz walka toczona o przyciągnięcie go przez biedniaka, który tworzy awangardę, walczącą o całkowite zniszczenie wyzysku na wsi przez założenie spółdzielni produkcyjnej. Podobne przykłady prawie każdy z nas czytelników widział na własne oczy (np.: walka ZMP o odizolowanie parobków od wyzysku kulaka, szepciana propaganda, napady bandyckie itp.). W książce można również znaleźć wiele momentów podnoszących świadomość czytelnika (czynność klasowa, niebezpieczeństwo „przebieg” przy agitacji za wstępowaniem do spółdzielni, rola partii w czuwaniu nad praworządnością ludową itp.).

Albo o stron dodatkach chciałbym zwrócić uwagę na pewne braki.

Wydaje się, że autor zbyt przecenił rolę jednostki w dziele upowszechnienia. Nie pokazał pracy świadomościowej, jaką niewątpliwie prowadzi. Nie podkreślił wielkiej, bezpośredniej i pośredniej roli partii w kształtowaniu się świadomości biednego chłopstwa (z wyjątkiem opowiadania „Wspólna dolina”).

Niedocenienie roli szkoły i nauczyciela w akcji oświatowej i walce o upowszechnienie wsi wydaje mi się też dziwne. Szkoła może odegrać tu niecodzienną rolę. Przecież polityka personalna władz szkolnych nastawiona jest na obsadzanie szkół we wsiach spółdzielczych najlepszym aktywnym nauczycielem. Nie jest też tajemnicą, że bez nauczyciela prawie nie się w wsi nie dzieje. Na ten temat jest mi o tyle łatwo mówić, gdyż sam, jako nauczyciel, byłem skierowany przez partię z miasta do tworzenia się spółdzielni produkcyjnej i brałem aktywny udział w jej tworzeniu i rozwoju. Była to pierwsza spółdzielnia produkcyjna w powiecie kluczborskim (wieś Miechowa), założona w 1948 roku. Dziś ma duże osiągnięcia mimo podobnych trudności, jakie zostały przedstawione przez autora w jego książce.



WŁADYSŁAW ALFAWICKI

JEST O CZYM MARZYĆ...

Szkoda również, że autor po powstaniu spółdzielni produkcyjnej nie przedstawił jej rozwoju z pewnym wybiegnięciem naprzód, pokazując korzyści stąd płynące dla chłopów polskiego. Marzenia te częściowo zostały już urzeczywistnione w dobrze pracujących spółdzielniach. Tak np. we wspomnianej Miechowej — dawniej wsi zapadłej, powstał już wzorowy żłobek sezonowy, świetlica dla młodzieży szkolnej, przedszkole, nowa szkoła. Wieś została zradionizowana a drogę biegnącą przez środek wsi oświetla światło elektryczne. Członkowie spółdzielni produkcyjnej w ramach czynu 1-Majowego odbudowali swemu koleżce walczącej się dom (wartość pracy w tysiącach), wielu z byłych parobków założyło rodziny i bierze udział we władzach spółdzielni. Prawie z reguły ci najbardziej o okresu przed stworzeniem spółdzielni dziś są najlepiej sytuowani we wsi, gdy wynagrodzenie obliczone jest według pracy.

Spółdzielnia założyła kilkunasto hektarowy sad, a młodzież ma pierwszeństwo do szkół różnego typu. Na polach warczą dnem i nocą traktory, kierowane ręką byłego parobka i byłego analfabety, podczas gdy obok chłop indywidualny chyl się jeszcze nad plugiem jednokobowym.

Są wszak spółdzielnie produkcyjne, w których dniówka obrachunkowa sięga 30—40 złotych a czasem i więcej.

Nie są to już zatem marzenia dla tych, którzy docenili spółdzielnię produkcyjną, będąc one jednak stanowić treść marzeń tych, którzy pracują jeszcze indywidualnie. Bo chłop nasz lubi marzyć, marzył wszak o wolności w okresie feudalizmu, o ziemi w kapitalizmie, obecnie marzy o dorównaniu w życiu materialnym i kulturalnym miastu, nowemu miastu, robotniczemu z pracy, kultury i wiadomości.

Władysław Alfawicki

STANISŁAW GRABOWSKI

MŁODZIEŻOWIEC!

GMINA Iwierzyce w powiecie debickim „posiadała” w latach okupacji dwa majątki obszarowe. W jednym z nich miałem nieścisłości pracować, jako robotnik. Jeden dzień pracy w poniżej wymienionej gminie ludzka warunków starczył, aby nastawić wrogość do obszarników. Tak było ze mną, 15-letnim wyrostkiem.

W chwili, gdy tylko wróg hitlerowski został wypędzony z terenów województwa rzeszowskiego, chłop — pod kierownictwem PPR zaczęli dzielić obszarową ziemię między byłą służbę dworską, biedotę wiejską i rodziny poległych w walkach z granatową policją w pamiętnych latach 1933 — 1934.

Ob. Kocan Aniela z Wiercun, której mąż padł od kuli granatowej otrzymała 2 ha ziemi, ale jej nie chciała użytkować, gdyż zastraszył ją wróg klasowy mający rychło nastąpić powrotem obszarnika. Wydzierżawiła więc jeden kawałek, a drugi jako tako uprawiała. Wyteżona praca oświadczyła aktywistów PPR, zdemaskowanie propagandy wroga spowodowało jednak, że w niedługim czasie rozpoczęła pracę na otrzymanej ziemi.

Stanisław Piętaś nie pokazał w „Pierwszych starciach” roli naszej partii, jako hegemonia przemian gospodarczych i politycznych na naszej wsi.

A teraz przykład drugi. W roku 1951 postanowiono u nas założyć spółdzielnię produkcyjną w pamiętnej z walk z sanacją wsi Nockowej. Pełniłem wówczas obowiązki kierownika szkoły w tej wsi i muszę stwierdzić, że dużą pomoc w oświadczeniu ludzi niesi ofiarzy aktywistów partijną z gminy, powiatu a nawet i województwa, niosło ją i miejscowe nauczycielstwo. Tego wszystkiego w książce St. Piętaka nie widać.

Z drugiej strony można oczywiście stwierdzić, że pomoc taka była nieraz niewłaściwa. I chociaż odpowiednich

na to przykładów nie brak, to jednak odczytany od normy w pracy partyjnej nie można uznawać za zjawisko typowe. I dlatego źle się stało, że autor pokazał akurat źle pracującą gminę i powiatowe ognisko partyjne i źle pracującego nauczyciela. Nie żądam, aby autor nagromadził same pozytywne, ale niechżeby przynajmniej nasz gminny aktyw i powiatowy popelniający błędy, nawet drastyczne, równocześnie hartował się dojrzałości.

Autor „Wspólnej doliny” w pięknym natomiast świetle przedstawił młodzież, a raczej niewielką jej część — mam tu na myśli Władka, którego stosunek do Polski Ludowej i spółdzielności produkcyjnej jest naprawdę wart podziwu. Jeżeli chodzi o moją gminę, to na punkcie młodzieży zorganizowanej jestem raczej rozczarowany. Praca społeczno-polityczna wciąż jeszcze w naszym ZMP kuleje. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby młodzież nie pomagała nam w takich czy innych akcjach. Nie widziałem jednak u niej tego rewolucyjnego zapału, jaki daje głęboka dojrzałość ideologiczna. Jeżeli więc w nierzadko jeszcze trudnej sytuacji na odcinku młodzieżowym na wsi — czytamy o Władku — to moim zdaniem bardzo jej książka ta może pomóc. Młodzieżowiec Stanisława Piętaka jest mobilizującym przykładem bohaterstwa w pracy nad socjalistyczną przebudową wsi. Szkoda tylko, że po za Władkiem — to moim zdaniem bardzo jej książka ta może pomóc. Młodzieżowiec Stanisława Piętaka jest mobilizującym przykładem bohaterstwa w pracy nad socjalistyczną przebudową wsi. Szkoda tylko, że po za Władkiem — to moim zdaniem bardzo jej książka ta może pomóc.

I jeszcze jedna sprawa. Dla czytelnika nie jest obojętne, jakim stylem napisana jest książka. Mnie obojętne i moim kolegom — nauczycielom — z którymi czytaliśmy wspólnie opowiadania — język Piętaka przypadł do gustu. Ale czy przeciętny chłopski czytelnik zupełnie bez zastrzeżeń podzieli nasze zdanie — nie jesteśmy pewni.

Stanisław Grabowski

FLORIAN ZYGAL

ORGANIZACJA PRACY — ROZWOJ SPOŁDZIELNI

W zagadnieniu socjalizacji wsi bardzo ważnym problemem jest sam moment przystąpienia chłopów do spółdzielni. Jest to przecież zasadniczy zwrot w jego życiu, przede wszystkim zaś w jego świadomości. W psychice chłopczy toczy się wówczas głęboka, wstrząsająca nieraz walka, rysują się głębokie konflikty i zmagania wszystkiego co „stare” z „nowym”. Pracując w spółdzielni produkcyjnej ulega z jednej strony nadal oddziaływaniu wstecznych sił, z drugiej zaś rozwój nowych stosunków w otaczającej go rzeczywistości przeobraża jego świadomość. Nie jest on jedynie manekinem, lecz rozumuje, analizuje otaczającą go rzeczywistość, a kierowany realnym marzeniem, konkretną wizją przyszłości, przewidywa powoli i mozolnie wszystko, co było „stare”, staje po stronie „nowego”.

St. Piętaś pokazał w swej książce tylko jedną stronę medalu — mianowicie zewnętrzną walkę, zewnętrzne konflikty, dające się zobaczyć niejako „gołym okiem”. Nie pokazał natomiast wewnętrznych zmagani psychicznych chłopów, nie wprawił w ruch sprężyn, które każyły mu stać się członkiem spółdzielni. Spółdzielnia została związana, ale kim byli jej członkowie i dlaczego przystąpili do wspólnego gospodarowania tego „Wspólna dolina” nie wyjaśnia.

Ważnym problemem poruszony przez autora, a zaobserwowany przeze mnie we wsiach spółdzielczych — to występowanie chłopów ze spółdzielni. Przyczynami tego zjawiska — zdaniem autora — to tylko i wyłącznie agitacja kulaków. Majchrowa Zugałowa każe się „wymazać”, bo „Kakol spotkał ją raz i groził”. Wojciechowska — bo „sumienie i ludzie wytkają palcem”, Czerwinka — „bo Trela go namówił... robił... ostatnio u niego”. I to wszystko.

Czyli — tańczymy jak grają, tańczymy zwłaszcza przed tymi, którzy po starciu grają?

JAN CEBO

WALKA ALE NA JAKIM ETAPIE?

PRACUJE już od 1945 r. jako nauczyciel w szkole podstawowej we wsi Iłowo, pow. śremskiego, woj. bydgoskie. Jako aktywista stąkam się bezpośrednio z problematyką wsi spółdzielczej, obojętne też u uczestnicze w toczącej się tam walce klasowej.

Stanisław Piętaś przedstawia we „Wspólnej Dolinie” fragmenty dziejów nowej, socjalistycznej wsi nad Sanem, rodzącej się w ogniu zaręczek walki z bogaczami wiejskimi.

Obserwujemy zatem w książce walkę „starego z nowym”, przy czym „stare” — kulactwo jest lepiej zorganizowane i aktywniej oddziałujące na środowisko niż „nowe” — członkowie kolektywu. Bogacze potrafili nawet odciągnąć członków ze spółdzielni produkcyjnej. Tak może się — rzecz prosta — zdarzyć. Przez jakiś czas kulacy istotnie mogą mieć, a nawet przezwąć. Jeżeli jednak książka ma wychowywać, w pewnym więc sensie wyprowadzić z życia, a równocześnie zaprowadzić poprawnie dalszy jego ciąg, to dziwne jest dla mnie, że we wsi produkcyjnej widzimy tylko jednego aktywistę — Władka Zugałę — który sam dźwiga ciężar walki o utrzymanie i poszerzenie kolektywu. Nie widać aktywności powiatowego, przedstawicieli sił postępu z gromady i gminy, które przecież odnosią w końcu zwycięstwo. Po czasie zjawia się w spółdzielni z powiatu II sekretarz PZPR, który wykazał Władkowi błędy, stwierdził, że ominął „statut”, i pojechał, lecz nie konkretnego nie doradził. Członków, którzy odpadli, nie zdolano na powrót pozyskać — a byli oni przecież z biedoty. Piętaś pokazuje spółdzielnię produkcyjną w r. 1949. Zaczynały one dopiero powstawać. Mogły więc być i takie, na polach których ani jeden traktor nie przeorał ziemi. A członkowie pracowali po staremu końmi, młoko im zboże, pomocy znikąd nie otrzymali i kulacy mogli drwić na całego, rzecznic odciągając mniej przekonanych spółdzielców. Ale i wówczas już, chcąc być w zgodzie z prawdą, rację mieliśmy do czynienia aż z nazbyt hojnym wianowaniem spółdzielni. Wszak tow. Tepich przestraszał przed „cukierkiem”, jakiego oczekują deklarujący się chłopcy.

Tak czy inaczej opowiadanie to czytać będą chłopcy teraz, kiedy walka spółdzielni produkcyjnych z wrogiem zewnętrznym oraz pomoc partii, aktywny w okolicy i władzy ludowej znajdują się na dalszym i wyższym etapie.

U nas w powiecie trwa walka i to jeszcze jaka! Np. w Obkasie w r. 1951 zaraz po zebraniu organizacyjnym chłopów w sprawie założenia spółdzielni spalono w centrum wsi zabudowania, które mieli przejąć spółdzielcy pod obory, stajnie i spichrz. Wstrząs! Ten wrogi pożar prace organizacyjne, ale tylko na chwilę. Bo czy walka z wrogiem klasowym oznacza pozostawienie spółdzielców na łasce losu? Wprost przeciwnie, czynna troska i opieka wzrasta z każdym rokiem. Tak się mają rzeczy.

Dlatego i w walce wróg teraz już nie czepia się tego, że nie ma trak-

Z własnych obserwacji dokonanych w spółdzielni produkcyjnej Kraszkowice koło Wielunia wiem, że ataki kulaków na spółdzielców, chociaż wyjątkowo silne i bezwzględne — nie zdołały skłonić ani jednego z nich do wystąpienia ze spółdzielni. Istniały w niej czynniki, które w ostrej walce mobilizowały członków do dalszej pracy, mianowicie troskliwa opieka ze strony Komitetu Powiatowego Partii, sprężysta organizacja pracy, oraz duma ze wspólnie osiągniętych sukcesów. W spółdzielniach produkcyjnych Racyn i Zacharyn w powiecie chodzieskim po roku ich istnienia zrodziły się tendencje do występowania członków. Reakcja kulacka odegrała w tym zjawisku minimalną rolę. Występowanie spowodowało przede wszystkim brak czynników, mobilizujących członków do wspólnej pracy. Zawiodła organizacja pracy, nie osiągnięto spodziewanych wyników produkcyjnych, lepszych niż na indywidualnej gospodarce. Nie dopisywały też organizacje polityczne, spółdzielnie pozostawiono samej sobie. Są to sprawy bardzo istotne, gdyż silnego zwartego organizacyjnie, umiejętnie gospodarującego kolektywu wróg tak łatwo nie zaatakuję, zwłaszcza, jeżeli spółdzielnia otoczona jest czynną opieką gminną i powiatową aktywną. Jego działalność jest niekiedy wtórna w tym sensie, że uderza sukcesywnie w słaby kolektyw, wykorzystując złą sytuację spółdzielni.

Autor wyminał problemy organizacji pracy, jej wydajności, nie pokazał niedociągnięć w pracy politycznej — wskutek czego przecenił siły wroga klasowego, straszy jego potęgą i spółdzielców i czytelnika, podobnie jak Warmiński w „Zwycięstwie”, które miałem możność widzieć. A to jest moim zdaniem błąd. Nie zwalajmy całej winy na wroga, bo w ten sposób nie tylko fałszujemy prawdę, ale i budujemy potęgę wroga, jakiej on nie ma.

Florian Zygał



STANISŁAW PIĘTAK

Odpowiadam

NIE łatwa to sprawa bronić się, lub tłumaczyć przed swym czytelnikiem. Zawodowy krytyk nie kiedy ledwie przegladnie powieść i już o niej napisze, nie angażując w wypowiedzi niemal wcale swego serca. Gniew, oburzenie i pretensje czytelnika, piszącego o książce, trzeba brać poważnie, w jego uwagach bowiem każde zdanie ma pokrycie, za każdym słowem stoją chwile istotnego przeżycia.

Redakcja „Wsi” znowu wyprzedziła inne pisma literackie, stwarzając w tak wielkim zakresie dział wypowiedzi krytycznych czytelnika o „Wspólnej produkcji literackiej”. Ta forma wypowiedzi szeroko praktykowana w Związku Radzieckim i spełniająca doniosłą tam rolę, u nas dopiero czyni pierwsze kroki, jest jeszcze niepewna, jeszcze zapatrzona niejednokrotnie w drukowane słowo krytyczne.

O mojej „Wspólnej dolinie” wypowiedzieli się nauczyciele z nieznanymi mi bliżej spółdzielni produkcyjnych, ludzie mocno związani swoją pracą ze środowiskiem chłopskim i nie rzadko aktywni działacze partyjni. Ich krytyka, choć miejscami surowa, jest celna i bezzwzględnie ukazuje niedostatki mojej książki — zgadzam się z nią niemal zupełnie...

Tak mówiąc, mógłbym wziąć kapelusza i pójść do domu. Byłoby to jednak nierozumne posunięcie, w ten sposób uniknąłbym rozmowy z ludźmi, którzy szczerze boleją, że temat bogaty w fakty i przeżycia ludzkie nie ukazany został przeze mnie w wielkiej, atrakcyjnej, porywającej formie, choć miał po temu zadatki. Usiądźmy więc, porozmawiajmy najprościej, tak, jakbyśmy podawali dłoń staremu, dawno niewidzianemu przyjacielowi.

„Wspólna dolina”, zbiór opowiadań i szkiców jest dziełem stworzonym dla doradczego celu, agitacyjnym w istotnym znaczeniu tego słowa. Chodziło mi (moim krytycy zresztą to łatwo odczytali) o spopularyzowanie idei spółdzielności produkcyjnej wśród wahańców się chłopstwa. Zamierzając jednak napisać kilka publicystycznych artykułów stworzyłem szereg opowiadań, które miały sprawę oczywistą, uczynić ją w wyrazie artystycznym bardziej przekonującą.

Zacząłem pisanie od przedstawienia sytuacji, w jakiej żył chłop, średniolowy w ustraju kapitalistycznym („Śmierć dziadka”). Następnie na przykładzie małego przyszłego wiejskiego pokazałem pierwsze miesiące rewolucji społecznej w Polsce. Jest rok 1945, wiosna. Biedota wiejska wzięła nadzieloną rolę, kulactwo współpracując z działającym wtedy na wielką skalę podziemiem, przystąpiło do otwartej walki — grozi, niszczy plony, podpada, zabija... Już tytuł opowiadania — „Pierwsze starcie”, mówi, że jest to zaledwie początek walki.

O sytuacji na wsi w latach 1946 — 1948, o narastaniu i innych formach walki klasowej w owym czasie (kulak poczyną przybierać coraz inne solidaryczne maski, byle tylko biedaka i średniolowego chłopca oszukać) mówię dalsze opowiadania — „Dobro bogacza” i „Lekcja”.

Na uboczu głównego nurtu zagadnień, wydawałoby się, stoi nowela „Duszkiewicz”. Jakże charakterystyczne jest, że ani jeden z moich krytykujących czytelników nie wspominał o niej! Czyżby dlatego, że konflikt inteligenta jest im z przeżycia nieznanym, czy też obojętnym?

Ja przywiązuję znaczną wagę do powyższego utworu. Abstrahując od zagmatwanej w nim nieco fabuły, daje ona obraz tych głębokich sprzeczności i konfliktów, jakie przeżywała grupa tzw. pisarzy chłopskich (proces wcale jeszcze żywy), a z nią wielka część inteligencji pochodzenia wiejskiego, zanim odeszła

od dawnego, ciasnego swego świata pojęć i rozumienia, doceniła i zaczęła żyć ideą socjalizmu.

Wszystkie wymienione opowiadania — może z wyjątkiem „Lekcji”, którą chciałbym jeszcze raz w pełniejszej i intelektualnie mocniejszej formie napisać uważam za utwory skończone, lepiej czy gorzej, ale w pełni oddające zamysł autora, inaczej wszakże ma się historia z ostatnią, tytułową nowelą, tu sam ja mam ogromne wątpliwości i zdaję sobie aż nadto dobrze sprawę, dlaczego proza nie podoba się i czyni tyle zawodu czytelnikowi.

Konflikty, zagadnienia, realia nowego życia zostały zaledwie zanotowane we „Wspólnej dolinie”. Tego rodzaju utworów mogłoby być przyjęty, gdyby już istniały powieści potężne, oddające dzieje walk i pierwsze lata chwali i załamania spółdzielności produkcyjnej w naszym kraju, ponieważ tak nie jest, nie może się podobać, może tylko swą szlachetnością w ujęciu tematu niecierpliwić i zniechęcać. Z uwag moich krytyków skorzystam. Gdybym drugi raz dał pisać o takiej „Wspólnej dolinie” poszerzyłbym opowiadanie, nasycił je oficjalnie realiami, przedstawił liczącą grupę aktywistów, umieścił je, że się tak wyrażę, w obecnej bowiem postaci posiada ono tylko kości, a to mało!

Czytelnicy — krytycy z oburzeniem niemal wspominają, że w moich opowiadaniach dalem tylko jedną postać nauczyciela i do tego ujemną. Mogłbym na swoją obronę powiedzieć, że Cibus nie był nauczycielem, że zdobywał zaledwie w tym kierunku potrzebne wykształcenie i porał się uczeniem jedynie w czasie okupacji — tak, ale ja przecież o tym nie napisałem.

Błąd mój wynikał z dawnych nawyków pisarskich. My twórco, ulegający w swojej młodości t.zw. literaturze aluzyjnej i antyrealistycznej długo jeszcze będziemy musieli walczyć z relikami dawnego w sobie. Skróty są dobre, jeśli praktykowane są przy opisie natury czy opisie przedmiotu, nie mogą dotyczyć przecież człowieka i to jeszcze wroga, o którym trzeba wszystko szczegółowo i jasno opowiedzieć, by czytelnik miał pełną satysfakcję, analizując i przeżywając tę postać.

Uwagi moje pisane ad hoc i niemal w poczekalni na dworcu, dobiegają końca, a jeszcze nie powiedziałem najważniejszego słowa a to, że już rozpoczynając artykuł, chciałem podziękować moim krytykom. Ich życzliwość i rzetelność w osądzeniu książki jest z tego względu istotna i prawdziwa, bo oni dzieło kontrolowali z potęgą nowego życia, które znają na wskroś, w najdrobniejszym przejawie, są wszakże jego częścią.

Myślę, że gdybym posiadał znajomość dzisiejszego wiejskiego życia równą im, gdybym z taką samą żarliwością ideową podchodził do człowieka — działacza, jak oni, napisałbym lepszą, a może nawet znakomitą książkę.

Pocieszmy się, nie wszystko jest stracone. Poznaliśmy swoje błędy — siągnijmy do nowego dzieła, stwórzmy je doskonalsze.

P. S. Na marginesie nasuwa mi się jeszcze jedno spostrzeżenie. Jeden z moich krytyków wspominał o tak ważnej funkcji dzieła, jak język, styl — i stwierdził, że jemu i jego kolegom styl „Wspólnej doliny” podobał się. Czy będzie jednak odpowiadał pracującym chłopom, tego nie jest pewien?... Byłbym rad, aby w przyszłości ktoś pisał już o innej książce i czyniąc podobne uwagi, postrzągał się szerzej, wyjaśniał, w czym widzi swe wątpliwości — w składni utworu np. czy w słownictwie... Byłoby to dla pisarzy bardzo pouczające.

Stanisław Piętaś

STEFAN WALICKI

O przełom w hodowli

NOWA ustawa o obowiązkowych dostawach zwierząt rzeźnych ma nie tylko na oku cele doraźne (zabezpieczenia trwałego i równomiernego zaopatrzenia ludności miast w mięso), ale jest jednym z ogniw tej planowej polityki gospodarczej naszego ludowego Państwa, która ma na celu wprowadzenie zasadniczych przemian w profilu produkcyjnym wszystkich dziedzin wytwórczości materialnej, dla stworzenia warunków do szybkiego i wszechstronnego rozwoju gospodarstwa narodowego.

W gospodarce kapitalistycznej — gdzie głównym motorem działalności przedsiębiorcy jest jedynie i wyłącznie jego prywatny zysk — profil produkcyjny głównych gałęzi wytwórczości materialnej: przemysłu, transportu, rolnictwa, kształtował się w sposób jaskrawo sprzeczny z interesem społecznym.

Specjalnie wyraźnie to zjawisko występuje w gospodarce krajów zależnych, stanowiących obiekt wyzysku ze strony międzynarodowego kapitału, w krajach kolonialnych i półkolonialnych.

Jaskrawą ilustracją tych stosunków może być nie tylko, tak niekorzystna z punktu widzenia możliwości rozwojowych całego gospodarstwa narodowego, dysproporcja między rozwojem przemysłu ciężkiego i lekkiego, nie tylko jednostronność transportu, w którym główną rolę odgrywał (z pominięciem transportu wodnego, drogowego i lotniczego) jedynie transport kolejowy, lecz także nie mniej szkodliwa z punktu widzenia interesu społecznego niska rola produkcji hodowlanej w całokształcie produkcji rolnej i gospodarki Polski przedwojennej.

O ile w początkowym okresie rozwoju kapitalizmu w Polsce, a więc w latach 1750—1830 powstanie wielkiego przemysłu, szybki rozwój wielkich miast — skupisk klasy robotniczej, wzrost zatrudnienia w zawodach pozarolniczych i związany z nim popyt na artykuły hodowlane — wywołał ogromny przewrót w profilu produkcyjnym rolnictwa, podnosząc ciężar gatunkowy produkcji zwierzęcej w całokształcie produkcji rolnej do 50 proc., to w okresie późniejszym rozkładu stosunków kapitalistycznych proces ten ulega wyraźnemu zahamowaniu.

W roku np. 1884 wartość produkcji zwierzęcej (w/g obliczeń Szczepańskiego) wynosiła w Polsce zaledwie ok. 42 proc. wartości całej produkcji rolnej, w roku 1911 (w/g obliczeń Koszutskiego) już tylko 41 proc., a w roku 1937 spadła do 40 proc. całokształtu produkcji rolnej.

Odmienne od stosunków u nas panujących kształtował się ten stosunek produkcji zwierzęcej do produkcji roślinnej w krajach o rozwiniętej gospodarce kapitalistycznej. Wartość np. produkcji zwierzęcej w Anglii była 4½ razy wyższa od wartości produkcji roślinnej, w Niemczech dwukrotnie. Jeszcze inaczej kształtował się ten stosunek produkcji zwierzęcej do roślinnej w krajach kolonialnych, najbardziej zafascynowanych gospodarczo. Tak np. w Indiach wartość produkcji zwierzęcej stanowiła zaledwie 1/7 wartości produkcji roślinnej.

Słaby rozwój hodowli w Polsce przedwojennej odbijał się niesłychanie niekorzystnie na całokształcie gospodarki narodowej, hamował bowiem intensyfikację produkcji roślinnej (brak obornika, nikły udział upraw pastewnych, tak korzystnych z punktu widzenia prawidłowego płodozmiaru, w całokształcie produkcji roślinnej itp.), utrudniał rozwój przemysłu lekkiego, opartego o surowce pochodzące z zwierzęcych (skóra, wełna itp.), ograniczał możliwości eksportowe, odbijał się fatalnie na wyżywieniu ludności pracującej.

Mimo ogromnych wysiłków w dziedzinie hodowli ze strony mało i średniorolnych chłopów (w produkcji bowiem drobnych i średnich gospodarstw chłopskich produkty hodowlane stanowiły 60 proc.) wobec przewagi w rolnictwie gospodarstw o charakterze kapitalistycznym, posiadających 50 proc. użytków rolnych, 33 proc. koni, 60 proc. krów i 70 proc. pogłowia trzody chlewnej, a które lekcewały i nie doceniały sprawy hodowli — do 1939 sytuacja nie tylko nie uległa żadnej poprawie, ale pogorszała się z roku na rok.

System bowiem kapitalistyczny odciął od możliwości prowadzenia hodowli prawie trzecią część, a więc ogromną ilość drobnych i średnich gospodarstw chłopskich. Wystarczy wspomnieć, że np. w roku 1927 (a więc w okresie jeszcze dobrej koniunktury) — ok. 900 tys. gospodarstw chłopskich nie posiadało wcale krów, a 950 tys. — ani jednej sztuki trzody chlewnej!

Dopiero w Polsce Ludowej, zgodnie z interesem społecznym, hodowla zaczęła odgrywać znacznie większą niż przed wojną rolę w całokształcie produkcji rolnej.

W roku np. 1950 stosunek wartości produkcji zwierzęcej do wartości produkcji roślinnej był już równy.

W świetle wytycznych Planu 6-letniego — który przewiduje wzrost produkcji zwierzęcej o 2/3 a roślinnej o 1/3, a więc zmianę w kierunku wprowadzenia i utrwalenia zdecydowanej przewagi hodowli w całokształcie

cie produkcji rolnej — te osiągnięcia są wciąż niedostateczne.

Stoi zatem przed nami sprawa przyspieszenia wzrostu pogłowia i wydajności zwierząt i przestawienia wszystkich gospodarstw rolnych (państwowych, spółdzielczych i drobno-warownych) na kierunek hodowlany.

Liczba inwentarza żywego na 100 ha użytków rolnych

Kraj	Rok	Bjdył rogate	troda chlewna	owce	drob
Anglia	1938	44	22	133	525
Niemcy	"	69	82	17	336
Dania	"	103	92	6	737
Polska	"	41	29	13	260
Polska	1955	46	50	18	662

Ale jeszcze mimo zasadniczych (tak korzystnych dla chłopów) przemian na rynku cen, ogromnego wzrostu (w por. sprzed wojny) oplatności produkcji zwierzęcej, wielkiego wzrostu zapotrzebowania na produkty hodowli ze strony ludności pracującej w zawodach pozarolniczych i ze strony przemysłu lekkiego, rolnego i spożywczego — duża (bo prawie 1/3) część drobnych i średnich gospodarstw chłopskich oraz większość gospodarstw kułackich uchyla się od hodowli, ograniczając się wyłącznie do uprawy zbóż chlebowych i ziemniaków lub upraw specjalnych.

Nowa ustawa ma właśnie na celu aktywizację tych gospodarstw w dziedzinie hodowli, wprowadzając faktyczny obowiązek hodowania zwierząt gospodarskich ze specjalnym naciskiem na trzodę chlewną oraz drob.

Przed wojną bowiem nie tylko niekorzystnie z punktu widzenia interesów społecznych przedstawiał się nikły udział hodowli w całokształcie gospodarki rolnej, poważnie również zastrzeżenia wywoływał stosunek wzajemny poszczególnych gałęzi hodowli.

Wszak w całokształcie wartości produkcji zwierzęcej największy ciężar gatunkowy reprezentowało przed wojną mleko (32 proc.), później żywiec wieprzowy (24 proc.), jaja (6 proc.), żywice wołowe (5 proc.) itp. Nieco korzystniejszy stosunek te kształtowały się w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich, gdzie mleko reprezentowało 36 proc. wartości produkcji zwierzęcej, żywiec wieprzowy — 30 proc., żywice wołowe (i sprzedaż cieląt) — 12 proc., jaja — 8 proc., drob bity — 3 proc. itd.

Trzeba obecnie znacznie powiększyć udział żywca wieprzowego i drobiu białego w całokształcie produkcji zwierzęcej kosztem mleka, to znaczy wykorzystując w większym stopniu odtłuszczone mleko i jego przetwory (twaróg, serwatka itp.), jako paszę dla trzody chlewnej i drobiu, a zwiększając towarową produkcję masła.

Skuteczność nowej ustawy gwarantuje nie tylko przymus prawny, ale przede wszystkim ogromna pomoc państwa ludowego w węglu, paszach treściwych, ulgi podatkowe i premie zastrzeżone ustawą, z których mogą korzystać rolnicy rozwijający w swych gospodarstwach hodowlę. Można być pewnym, że w ślad za tą ustawą nastąpi jeszcze w toku realizacji Planu 6-letniego i następnego planu 5-letniego cały szereg dodatkowych zarządzeń i posunięć gospodarczych, jak np. uprządkowanie dziedziny budownictwa budynków, związanych z produkcją zwierzęcą (obory, chlewy, kurniki, owczarnie) zwłaszcza w PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych oraz również drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich, przy wszechstronnym wykorzystaniu zastępczych materiałów budowlanych; jak np. opracowanie gruntownego planu melioracyjnego dla zagospodarowania łąk i pastwisk, zorganizowanie na wyższym poziomie nasennictwa, zwłaszcza roślin pastewnych, lepsze wykorzystanie odpadkowych pasz treściwych przemysłu lekkiego i przemysłu rolno-spożywczego itp. Sprawa bowiem hodowli jest jedną z najważniejszych spraw w całokształcie produkcji rolnej w Polsce.

Ze względu na zasadniczy, a nie tylko doraźny charakter tej ustawy przyjęta ona zostanie z pewnością ze zrozumieniem i zadowoleniem przez pracujących chłopów. Świadczy o tym wiele wypowiedzi w ciągu 1951 roku ze strony przodujących rolników, domagających się od dawna ustawowego uregulowania sprawy hodowli w Polsce. Ob. Klimczak Michał 56-letni gospodarz na 4 ha w powiecie Zagań, tak np. pisał do „Wiś”: „Mam ci ja taki projekt do kontraktacji trzody chlewnej. Powinno być na to taka ustawa, jak jest na zboże czy na kartofle, żeby kontraktacja była obowiązkiem każdego rolnika, a nie tak, jak dzisiaj jest, że jak mi się podoba, to kontraktuję, a jak mi się nie podoba, to nie kontraktuję. Bo przecież tu chodzi o wielką i ważną dla całego narodu sprawę”.

Stefan Walicki

HENRYK WORCELL

STARY DOBROWOLSKI



„Przodownicy pracy otoczeni są powszechnym szacunkiem narodu”.

(Z art. 14 projektowanej Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej).

Kilka dni temu, wczesnym rankiem, przyszedł do mnie składowy Żygerkorn — „dziadek”, jak go popularnie nazywają robotnicy na rampie — i z mniejszą:

— Ma pan czas?

— To zależy...

— Jest robota akurat dla pana, trzeba śrutować cztery tony jęczmienia.

— Gdzie, w magazynie?

— Nie, u Dobrowolskiego w Ośrodku Maszynowym.

— A, to co innego, tam pójdę.

— Ja od razu wiedziałem... — stary Żygerkorn uśmiechnął się domyślnie i wykonał rękę ruchu, naśladujący pisanie — tam pan może dużo zobaczyć — po czym cofając się już ku drzwiom, dodał: — ale to szkoda, że pan w swoim artykule o „rampie” nie zaznaczył, że i borowina idzie stąd do zdrowiska. Niechby ludzie wiedzieli, że tu się nie nie marynuje...

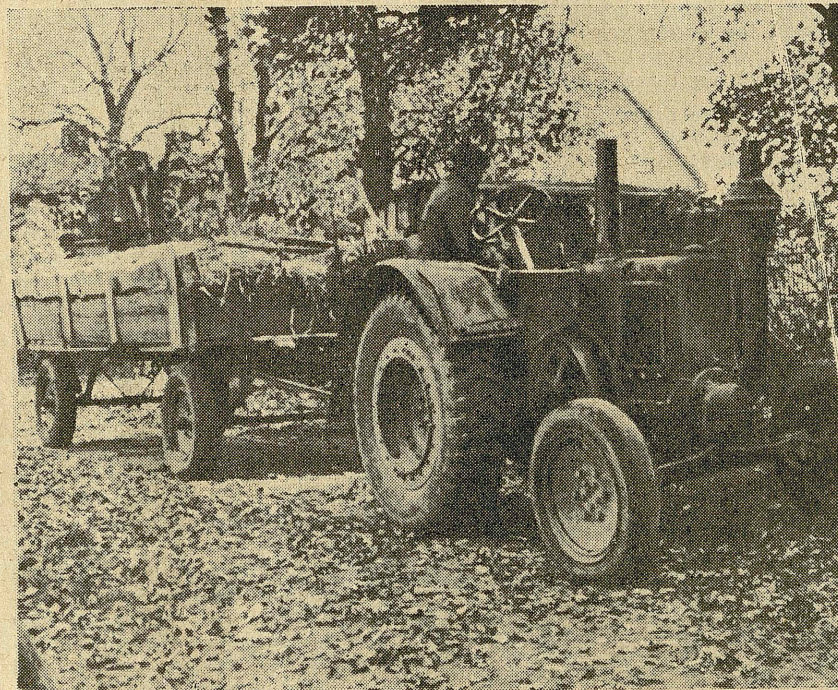
Przebrałem się w robocze ubranie i pośpieszyłem do Ośrodka Maszynowego. Dzień był grudniowy, ale bezśnieżny, pogoda raczej listopadowa. W szeroko dolinę trzebiezowicką wlewały się dwa wściekle wiatry, wiejące z różnych stron, skłócone z sobą, walczące w niedorzecznym współzawodnictwie o tę resztę liści, jakie jeszcze tu i ówdzie na drzewach pozostały. Chłurzyły się w rękawce się w strzępy, spadały na dół na zalesione szczyty gór — widniejący daleko na południe Snieżek zdawał się dymić niby wulkan sudecki. Niekiedy poprzez zwaly chmur i lotnych mgieł przedzierało się słońce i wtedy w całym tym górskim kotle tworzył się nieopisany chaos światła, cięci i mroków północne stoki góry jawiły się wówczas nagle złowrogą, pionową ścianą, która lada chwila zawałi się na Trzebiezowice.

Na drodze, tuż przed magazynem zbożowym, spotkałem II sekretarza koła partyjnego, nauczycielkę Czapową.

— Dokąd to? — próbowała przekrzyć wiatr.

— Do Ośrodka Maszynowego!

— A nie wie pan, czy młody Dobrowolski wrócił już ze zjazdu we Wrocławiu?



— Nie wiem, powinien już być... — Ja tam przyjdę po lekcjach, mam ważną sprawę.

Ale jaka, tego nie powiedziała. Przysadzista, gruba, okutana w płaszcz i dwa szalki, podobna raczej do zasobnej gospodyni niż do nauczycielki, ruszyła pod wiatr w stronę szkoły, a ja w przeciwną stronę, też pod wiatr.

W Ośrodku, otoczonym zewsząd budynkami i fortelną ściąsą bramą, było zaciśnięte, tylko gdzieś góra wylała i chrobało po dachach. Starego Dobrowolskiego zastałem na podwórzu. Niski, suchy, wosaty, o twarzy jakby uwędzonej w dymie i ściągniętej u dołu kłamarą wydętą brody, kuśtykał rażno na swej protezie — istny gnom, żyjący się pewnie kosem i wszelakiego rodzaju żelastwem. — A, jest pan... — przywitał mnie, wykonując żwawo pół obrotu. — Właśnie Żygerkorn mówił mi, że pan... Wszystko już przygotowałem,

śrutownik, motor, ale ziarna jeszcze nie przywieźli. No, nie przywieźli! — Małe zmartwienie, zaczekam... Syn wrócił z Wrocławia?

— Nie, ale powinien o dziesiątej przyjechać. Powinien, powinien.

Stary miał wyczerpaną powtarzania końcowych wyrazów.

Weszliśmy do warsztatu. Tu stary pokazał mi rzecz całkiem zwyczajną, jedną z tych, jakie można oglądać w każdym większym warsztacie. Mówię: zwyczajną, a jednak stanąłem wobec niej wzruszony i jestem pewny, że każdy doznałby podobnego uczucia, gdyby był na moim miejscu i znał Andrzeja Dobrowolskiego. A warto go poznać, bo tego rodzaju ludzie nie rodzą się na kamieniu.

Ten 64-letni kaleka, terazniejszy pełnomocnik Ośrodka Maszynowego w Trzebiezowicach, za swych młodych lat pracował, jako stelmach w majątku Alfreda Potockiego w Poluchowie Wielkim, pow. Przemyślany. „Tam było tak — opowiadał — że kto chciał żyć, musiał kłaść. Ja nie chciałem kłaść. Nie dlatego, że byłem bał, albo żałowałem Potockiego, nie, nie mogłem, nie umiałem, tak już byłem wychowany. I dlatego działałem razem z rodziną na jasnie pańskim majątku”.

Mimo, że był pierwszorzędnym, wszechstronnie uzdolnionym rzemieślnikiem, w r. 1918 zwolniono go z pracy za „buntowanie” majątkowych robotników i żądanie podwyższenia głodowych płac. Nie przejął się zbyt tym ciosem. Zaczął pracować w swoim warsztacie, ponadto zajął się intensywnie pszczelarstwem, powiększył pasiekę — hrabia Potocki był na tyle łaskaw, że nie bronil pszczołom grasować po pańskim rzepaku. Po upływie paru lat Dobrowolski dochrapał się benzynowego motoru i od tego czasu datuje się jego pionierska praca w tamtych okolicach: jeździł ze swym motorem od gospodarza do gospodarza i za nader skromnym wynagrodzeniem wymyślał im zboże, rznął drzewo, naprawiał kieraty. W Trzebiezowicach mieszkający repatrianci z tamtych stron: Regner, Kociołek, Dyra, Szymański, Dorosz, Działak, Pakiewicz — i wszyscy bez wyjątku, gdy ich zagadną o Dobrowolskiego, wyrażają się o nim z najwyższym uznaniem: „O tak, on dużo dobrego ludziom zrobił”, „to dobry człowiek, nikomu nie odmawiał pomocy”.

Latem 1945 roku cała rodzina Dobrowolskich przybyła na Ziemię Zachodnią, stary z najmłodszym synem i córką osiedlając się w Orlowcu, gm. Łądek-Zdrój. Dobrowolski z miejsca daje się poznać, jako wybitny fachowiec — kołodziej, ślusarz, kowal, stolarz, elektryk, murarz i zdun w jednej osobie. Toteż gdy w r. 1949 w Orlowcu przystąpiono do założenia Ośrodka Maszynowego, Dobrowolski objął w nim funkcję pełnomocnika i majstra. „Teraz dopiero w Polsce Ludowej” — opowiadał z entuzjazmem — oceniono moją pracę, dano mi możność pokazania, co potrafię”. W ciągu dwóch lat prowadził Ośrodek tak wzorowo, pracował z takim zapalem nie tylko w Orlowcu, ale i w Łądku-Zdroju, że w grudniu 1950 r. nadano mu dyplom przodownika pracy.

W kwietniu 1951 r. władze powiatowe postanowiły przerzucić Dobrowolskiego do Trzebiezowic i tu powierzyć mu zorganizowanie nowego

łowe na koniec czerwca, żniwiarki i snopowiązaki na połowę lipca.

Stary Dobrowolski początkowo okres swej pracy w Trzebiezowicach wspomina z goręczą, żali się na ludzi, że nie spieszyli mu z pomocą, że sam musiał zwozić glinę i piasek, z trudem zdobywać cegły i inny materiał. „Wierzę mi pan, że nie raz to i płakać się chciało. Ja myślałem, że tu ludzie wiedzą, co to jest Ośrodek Maszynowy, że te maszyny, to przecie ich własność, że nie dla siebie je naprawiam tylko dla nich. Zeby chociaż ktoś z komitetu ośrodkowego zajrzał tu, poradził coś, pomógł... Ja przecie chcę, żeby tu ludzie przychodzili, interesowali się moją robotą, nawet krytykowali... Ja to lubię, ja chcę”.

W rzeczywistości jednak nie było tak źle. Aby zrozumieć żal Dobrowolskiego trzeba pamiętać o tym, że przybył z Orlowca, gdzie ludzie znali go już od paru lat i gdzie on tych ludzi, jak gdyby sobie wychował, swoją pracą, swoją działalnością uświadamiał ich klasowo. Wieg nie dziwnego, że w porównaniu z Orlowcem Trzebiezowice wydały mu się istnym gniazdem zacofania i bierności. Prawda jest, że Miler odmówił mu cegły, której miał u siebie pod dostatkiem z rozbioru niemieckich budynków, prawdą jest, że Małkowska zrobiła piekło, gdy Dobrowolski chciał z nieużytkownej części jej parceli czerpać nieużytkowny dla niej piasek, prawdą i to, że nie mógł zdobyć podwojny i swoim kosztem musiał zwozić materiał. Ale też nie da się zaprzeczyć następującym faktom, o których zresztą sam Dobrowolski wspomina z wdzięcznością, że Dorosz Franciszek ofiarował dla Ośrodka 1500 cegieł, a Bublów 1800. Te Mieszczańskie w okresie wiosennych robót polnych „wypożyczył” swego syna na trzy dni w celu zorientowania Dobrowolskiego w terenie, znanym z gospodarzami i ich gospodarstwami. A z komitetu ośrodkowego przychodził Regner, często odwiedzał go soltyś, kilkakrotnie bywała II sekretarz, Czapowa. Pewnie, że to wszystko w porównaniu z uczynnością, uświadomieniem i dobrą wolą Orlowiczów było niewiele, ale niech się Dobrowolski pocieszy, że ten stan rzeczy w Trzebiezowicach zmienia się z dnia na dzień na korzyść i że on sam swoją działalnością przyczynia się do tych zmian. Ludzie obserwują go, uczą się, biorą z niego przykład.

Gdy na zebraniu gromadzkim w listopadzie Dobrowolski wystąpił ze swoim sprawozdaniem i ostrzo zaatakował kilku gospodarzy, zalegających jeszcze z opłatą za użycie maszyn, widziałem, jak Zaleciło, szczerze się tak naganą przejął i już na drugi dzień zalegiłość wyrównał. Później to samo uczynili inni. A Dobrowolski mówił: „Ja się nie będę cegielnował, ja na zebraniu zawsze będę rąbał prawdę. Niech mnie krytykują, jak mają rację, ale ja też będę krytykował. Będę! Obejrzała wtedy i Małkowska i Trzebieczak Ludwik i Kubla Piotr — ludzie patrzyli na Dobrowolskiego z podziwem, niektórzy z lekkiem, jakby oglądali kulawego diabła”.

Gdy wreszcie w maju maszyny pościągano do Ośrodka, stary i jego 20-letni syn, Władysław, aktywny zetem-powiec, zabrali się do roboty. Dzień w dzień zrywali się o godz. 4-jej rano, pracowali, zapominając o posiłkach, noc zastawiała ich w prowizorycznych warsztacie przy świetle żarówek. A było co robić w tej gmatwaninie pokrzywionych osi, pogiętych sprężeli, rozkalibrowanych łożysk, startych bolców, uszkodzonych targańców, powiązanych drutem skrzydeł, wylamanych listew, nieczynnych hamulców, potarganych płócien, zardzewiałych trybów. Trzeba było wiele pomysłowości i cierpliwości, by te najważniejsze części maszyn naprawić i wyrobić bez pomocy automatycznego spawacza i bez obrabiarki do metali. Dobrowolscy musieli się posługiwać zwyczajnym miechem kowalskim i różnymi pilnikami. „Najwięcej trudności mieliśmy — opowiadał młody Dobrowolski — z łożyskami do targańców. W gminnym ośrodku powiedziano nam, że takich łożysk własnym przemysłem w ogóle nie da się zrobić, przede wszystkim z powodu braku odpowiedniego materiału. Wtedy wpadliśmy z ojcem na pomysł wykorzystania fusów od pocisków artyleryjskich, których tu nie brak. Topiliśmy je w kuźni i odlewaliśmy łożyska w specjalnej glinianej formie. „A stary napychał swoją fajeczkę tytoniem, dziurkował ziemię protezą, przytakiwał synowi ruchem głowy i dopowiadał: „Tak, tu wszystko się da zrobić. Nie ma takiej roboty... Nie raz to żałuję, że się urodziłem za wcześnie, gdybym był młodszy, mógłbym o wiele więcej zrobić dla Ojczyzny”.

Na kilka dni przed rozpoczęciem żniw, maszyny były gotowe: 7 żniwiarek, 8 snopowiązalek, 5 kosiarek. Naprawione, wyczyszczone i naoliwione stały rzędami na podwórzu — że przyjemnie było spojrzeć. Każda maszyna posiadała swoją „metrykę”, wykaz dokonanych napraw i groszowe niemal obliczenia kosztów reperacyjnych. Mimo tak trudnych warunków Dobrowolscy mogli być naprawić większą ilość maszyn, lecz ilość ta byłaby wykonana kosztem jakości. „Chodziło mi o to — mówił stary — żebym w żniwa nie musiał biegać po polach z narzędziami i naprawiać maszyny. Bo jak maszyna źle przygotowana, to jej w robocie łatwo nie naprawisz, nie!”

Przywieziono dwie tony zboża — przywieźli je stary, zakontraktowany, woźnica magazynowy, Kociołek, chłop niski, pękaty i jedyny jak pędrak, a mój jak byk. Pożniósł 75-kilowe wory do prowizorycznego magazynu, gdzie stał śrutownik i motor — i wkrótce zabrakło mu do swojej roboty. Nie była ciężka, co kwadrans wysypywałem do śrutownika wiadro żyta, co pół godziny odstawiałem od maszyny pełny worek śrutu — miałem sporo wolnego czasu, by się przysłuchiwać widniejącym ponad dachami górskim szczytami i chmurami, które wiatr rozrywał w wielkie strzępy i kłaki. Bezlístne drzewa — olbrzymi parku zdawały się stękać w wielkich rozkłosach, wicher tam huczał ponuro, jakby głosem dalekiej eskadry bombowców.

Henryk Worcell

Listy z Trzebiezowic (2*)

I co by chłop powiedział? To mój ja bitwa: Ja szukuję się na nią z miechem i pilnikami, oni z jeźdźcami. Jak wygram, to i oni wygrają, a jakim przegrał, napłuc na moją reputację, napłuc...

I rzeczywiście, kiedy w naszej górskiej okolicy zaczęły się opóźnione w tym roku żniwa i kiedy wypadło sprzątać wszystkie zboża równocześnie, maszyny Ośrodka zdążyły egzamin na celujacy, wykonywały plan z nadwyżką, zamiast bowiem przewidzianych 180 ha skosiły 220 ha.

Po żniwach stary Dobrowolski wziął udział w ogólnopolskich dożynkach w Poznaniu, był filmowany podczas pochodu, był charakterystyczną twarzą utrwalil rysownik. Rysunkowy portret znalazł się na łamach „Wiś”. Stary przyjął te dowody wyróżnienia, jako rzecz całkiem naturalną, bez fałszywej skromności, ale i bez ostantacyjnej chwalby — podobnie swoją ze „Wiś” dołączył do dyplomu przodownika pracy i premiowej książeczki PKO, opiewającej na sumę 600 zł, oraz artykuł, jaki się o nim i o jego synu ukazał w „Rolniku Polskim” — i razem z teczką schował do szafy. Miał rację mówiąc, że dopiero teraz w Polsce Ludowej oceniono jego pracę.

Jesienią Dobrowolscy podjęli się nowych prac. Należało teraz przegrodzić boczny budynek murowaną ścianą na dwie części: kuźnię i warsztat ślusarsko - stolarski, dorobić drzwi i okna, zniwelować klepisko i podłogę w stodole przerebioną już na remizę, wysunąć szeroki okap przed kuźnię, żeby w porze deszczowej naprawiać tu maszyny, urządzić warsztat, wmontować koła transmisyjne, ustawić wiertarkę do drzewa, taśmówkę, szlifarkę do metali, frezarkę, heblarkę...



Rys. St. Gierowski

Kiedy zaglądałem tu tydzień temu, znaczna część tych robót była już wykonana lub w toku realizowania. A dziś...

Stary wprowadził mnie do tej części szopu, którą miano przerobić na warsztat i tam właśnie zobaczyłem te zwyczajną rzecz, która mnie tak wzruszyła. Oto wszystkie warsztaty we maszyny stały już na swoich miejscach, a z góry, od grubej, wzmocnionej kłamiarki belki zwały się czarne, rzemieńne pasy. One unerwiali teraz cały warsztat i napędzali go utajoną dynamiką. Stary zakotłował się na protezie, podszedł do motoru, włączył prąd i oto jedna z maszyn, szlifarka zaczęła warezć cicho i delikatnie niby instrument dentylistyczny przed dotknięciem zęba. W chwilę później ruszyła taśmówka przy akompaniamencie miarowego stukotu, wreszcie i heblarka głośnym warokiem oznajmiła swoje życie — warsztat rozbudził się, zagrał Dobrowolskiemu najmlszą muzyką — stary ścisnął w zębach fajeczkę i słuchał, słuchał, a gdy zatrzymał motor i maszyny zamilkły, jemu też jakoś nie chciało się zaraz mówić.

Ogarneł mnie uczucie jakiegoś bezpieczeństwa, pewności siebie, wartości życia — jak gdyby nagle zrozumiał, że pracą takich ludzi jak Dobrowolski zdobywamy swoje miejsce w świecie, swoje niezaprzeczone prawo do życia.

Zanim opuściliśmy warsztat, stary pokazał mi jeszcze dwa podłużne ostrze noże przymocowane do wału heblarki.

— Z czego? — zapytałem.

— Ze starej pily tartacznej... A jeden taki noż kosztuje 75 zł. Tak panie, trzeba ruszać głową. Ośrodek maszynowy na razie przynosi deficyt, a nasz Ośrodek nie jest deficytowy. I nie będzie! Niel...

Przywieziono dwie tony zboża — przywieźli je stary, zakontraktowany, woźnica magazynowy, Kociołek, chłop niski, pękaty i jedyny jak pędrak, a mój jak byk. Pożniósł 75-kilowe wory do prowizorycznego magazynu, gdzie stał śrutownik i motor — i wkrótce zabrakło mu do swojej roboty. Nie była ciężka, co kwadrans wysypywałem do śrutownika wiadro żyta, co pół godziny odstawiałem od maszyny pełny worek śrutu — miałem sporo wolnego czasu, by się przysłuchiwać widniejącym ponad dachami górskim szczytami i chmurami, które wiatr rozrywał w wielkie strzępy i kłaki. Bezlístne drzewa — olbrzymi parku zdawały się stękać w wielkich rozkłosach, wicher tam huczał ponuro, jakby głosem dalekiej eskadry bombowców.

*) „Na rampie”, Wiś 52, 1951 r.

FRANCISZEK PUŁŃSKI

JAN ADAMOWSKI

W ESSEN

KIEDY latem 1943 r. wysypały się z bydłych wagonów na jednym z dworców w Essen, przywiezieni „na roboty” przez okupanta z różnych krańców Polski, pierwsze, co rzuciło mi się w oczy było to ruiny. Rzeczy ulic w ruinach. Na ruinach poskręcone konstrukcje belek żelaznych, walające się resztki przedmiotów codziennego użytku, jakieś umywalki, łózka żelazne, szafki i kasy pancerne.

Później, kiedy wzięto nas w odkrytych ciężarówkach ulicami miasta zadziwił mnie widziany z perspektywy gruzów las kominów strzelających w niebo. Wokoło, gdzieś tylko się nie obijało, bliżej i dalej komin i komin. Dym ściełający się z nich nisko, tworzył czarne chmury, opadające na miasto. Patrzyłem i dziwiłem się. Fabryczne miasto widziałem po raz pierwszy. Ktoś z naszych zawołał: — Patrzcie! Dymią prawie wszystkie komin.

Istotnie, dymiały prawie wszystkie. Nikt się jednak wtedy nad tym nie zastanawiał. Nikomu z nas nie przyszło jeszcze na myśl, że bomby sojuszników mogłyby świadomie oszczędzać fabryki i zakłady przemysłowe w Essen.

Mijał mi centrum miasta. Teraz ciągnęły się ogródki podmiejskie. Na mikroskoplanych wprost działkach ziemi stały tu gęsto altanki i budki, wokół których zieleniły się grządki warzyw. Tu już gruzów nie było. Uciekli i hałas miastowy. Z ogródków pachniało kapustą i szpinakiem.

*

Baraki miałyśmy o jakie dobre półtora kilometra od przedmieścia Essen, zwanego Kupferdreh, a dużego tak, jak moje rodzinne Lipno. Położone były u podnóża góry w małym brzoźowym lasu, rosnącym na kamienistym gruncie. Okolica była piękna. W dole zaraz za laskiem świeciło lustro jeziora. To rzeka Ruhr tworzyła tu naturalne jezioro, rozciągające się hen od Kupferdreh aż po Essen-Werden. Górzyste zbocza wokół jeziora porośnięte były świerkami i innymi drzewem, przeważnie iglastym. Spośród zieleni drzew przebijają tylko tu i ówdzie rozrzucone prawie nad samą wodą wieże wyciągowe kopalni węgla.

Stąd do Essen prowadziły trzy drogi. Jedna biegła brzegiem jeziora w prawo, przez Kupferdreh, druga w lewo, przez Werden. Trzecia najbliższa przez jezioro małym stateczkiem, a potem z drugiej strony autobusem. Tą trzecią drogą jeździłem i ja z innymi do pracy.

*

Na „szlubię” było nas dwunastu. Rekrutowaliśmy się ze wszystkich warstw społecznych. Był tu i nauczyciel i urzędnik gminny, jakiś rzemieślnik, chłop i robotnik. Antoni Błaszczak był starym robotnikiem. Pochodził z Poznańskiego. Do Zagłębia Ruhry trafił już dwukrotnie. Raz był tu jeszcze w 1914 r. Znal tu wszystkich. Miał nawet znajomych Niemców z „tamtej wojny” w Gelsenkirchen. Czasami w wolną od pracy niedzielę wyjeżdżał do nich na cały dzień. Antoni umiał świetnie po niemiecku. Pamiętam, jak wieczorami po fajrancie, czytaliśmy nam gazetę niemiecką i tłumaczył sytuację na froncie. Mówił wtedy o Związku Armii Radzieckiej. Ta gazeta — mawiał — sama nie wiele powie, ale widać z niej, że na całej linii frontu trwa odwrót. (Front wtedy przebiegał gdzieś pod Wielkimi Łukami). Rosja Radziecka jest niezwyciężona — kończył zawsze kiedy mówił o froncie wschodnim. Przysłuchiwałem się jak prowadził dyskusję z nauczycielem i urzędnikiem. Nieraz się spierał. Antoni mówił o Rosji Radzieckiej, oni o Ameryce i Anglii. Szczególnie były urzędnik — nazywał się Sikorski — mawiał. Przecież nie od nich czekamy wyzwolenia.

A właśnie, że oni wyzwola Europę od Hitlera — mówił twardo Antoni. Słuchałem co mówił Antoni. — Cały kapitalistyczny świat pchnął Hitlera na ZSRR a ten, choć osamotniony w walce, żyje i zwycięża. Popatrzenie na Essen. Tyle lat go bombardują, a u Kruppa wszystkie komin, jak dymiały, tak dymia. Czyżby aliansi byli ślepi? Nie! Dopóki można niech idą armaty na ostry front, tak oni politykują, a potem — jak Hitlera nie stanie, to Krupp przyda się do czego innego. Przecież na to wygląda. A że rujnuje się kamienie? Czyż nie trzeba oszukiwać opinii świata?

Ze zdumieniem słuchał mi Antoni. Ale dziwna prawda potwierdzała się. Przecież w Essen ani na chwilę nie przerwano pracy w fabrykach. Jak na urągawisko pomimo bombardowania, komin w stalowych wieżach wciąż słały piorunujące dymy.

Wiedzieli, że Antoni ma rację, bo za jego słowami szły fakty. Zaczęłam sam się zastanawiać nad tym. Dziś, w okresie remilitaryzacji Niemiec widzę, jak przypuszczenia Antoniego potwierdziły się na całej linii. Rozwijały się też i moje wątpliwości. Wiem, że Anglosasi, oszczędzając Kruppa, już wtedy myśleli o zorganizowaniu trzeciej wojny światowej.

Franciszek Pułński

TOWARZYSZ «OBCY»

SIGALI go żandarmi hitlerowskie, urządzali nań zasadki w lasach, śledził go przebrany za AL-owca szpieg hitlerowski, Kurtz. AK-owcy z Dąbrowy Zielonej wyznaczali 20 tys. zł nagrody za jego głowę. Z Sosnowca przyjechał specjalny pluton egzekucyjny AK. 22-osobowa banda NSZ z Gidła pod dowództwem Kosmali kontrolowała wszystkie furmanki, jadące z Radomska do Dąbrowy Zielonej, czekali nań NSZ-owcy Warszawy, zaczęli się na drodze do zakładów metalurgicznych plątać zbir londyński — Basiniński, podłożono mu pod drzwi mieszkania ładunek „schpengstoff-u” (materiał wybuchowy do rozrywania czołgów).

Na dźwięk jego nazwiska pienie się z wściekłości gestapowcy, zgryźlali zębami obszarnci: Biedrzycki, Geyer, Bieżyński, fabrykant Szeinhagen, AK-owcy z Dąbrowy Zielonej — Czarnota i Sosnecki, NSZ-owice Surlej ze swoją kompanią i wszystkie ciemne siły, spryskane z imperializmem niemieckim i anglo-amerykańskim przeciw narodowi polskiemu.

„Obcy” był dla nich niewidzialnym a groźnym wrogiem. Za to dla wszystkich ludzi pracy, dla chłopów z Ulesia, Koniepoli, Sekurska, Olbrachc i wielu gromad powiatu częstochowskiego i radomszczańskiego, „Obcy” był najserdeczniejszym, najbliższym towarzyszem i przyjaciół. Zwierzano mu się ze wszystkich trosk i kłopotów okupacyjnych, przed nim, jak przed najdroższym bratem, otwierano serca, nabrzmiało wielowiekowym bólem i krzywdą. Na jego zew szli członkowie partyzanckich oddziałów AL walczyć z okupantem hitlerowskim i z agenturą londyńską w kraju.

Kim był ów umiłowany przez lud, żarliwy bojownik o wyzwolenie społeczne i narodowe? Kto go nauczył i wychowywał w duchu rewolucyjnej walki i hartu na żołnierza socjalizmu? Mówią o tym najlepiej dzieje jego życia i walki...

*

FRANCISZEK Cebo („Obcy”) — syn górnika kopalni „Renard” w Sosnowcu, nie mógł znaleźć pracy w Polsce przedwojennej. Kiedy głód ścisnął żołądek, chodził z bratem na „bieda-szyby”.

Broniąc interesów zagranicznych monopolistów, rząd Pilsudskiego wy-

syłał policję na „bieda-szyby”. Burzyła ona szybiki petardami i pałkami gumowymi, rozpędzała i masakrowała bezrobotnych górników.

W r. 1925 wstąpił do KPP. W tym roku, w którym Izba Lordów Wielkiej Brytanii zatwierdziła milionową pożyczkę dla Pilsudskiego w celu zaprowadzenia przez niego w Polsce reżimu „silnej ręki”...

Lata następne aż do wojny upływały Cebe w walce typowej dla KPP-owca: demonstracje i masówki, wiece robotnicze i strajki, agitacja uliczna i walki uliczne.

Kiedy wybuchła wojna Cebo liczył już blisko 50 lat.

Wrócił w rodzinne z czasów dziadka strony, w radomszczańskim powiecie. Zamieszkał w Raczkowicach i pracował, jako cieśla w pobliskim dworze, u dziedzica Geyera. Ale choć sterany i starzejący się już człowiek, mógł ten górnik z „bieda-szybów” zapomnieć, kim był, o co walczył i jak walczył? Czyż mógł zapomnieć swego pasierbca, Alfreda Popiołka, który poległ w Hiszpanii, walcząc u boku gen. Waltera? Czyż mógł zapomnieć o swojej „nielegalnej robocie”, o pierwszych jej formach „tapetowania” murów kopalni i pałaców fabrykantów wielkimi napisami, które pietrowały kapitalistów i mobilizowały klasę robotniczą?

*

MALY domek Ceby w Raczkowicach nie różnił się od innych biedniackich chałup wiejskich.

Wydało się, że wszystko tu biegnie podobnym trybem. Rano żona Ceby, Apolonia, krzątała się wokół objęcia, a Franciszek, którego dawną tu nie widziiano, rąbał szczapy, doprowadzał gospodarstwo do porządku. Nikt z sąsiadów nie mógł przynuszać, że pusty zazwyczaj dom stał się ośrodkiem życia rewolucyjnego w powiecie radomszczańskim. Późną nocą i stycznią 1944 roku odbyła się tu konferencja partyjna, na której utworzono rejonowy sztab AL. Oficerem organizacyjnym wybrano Franciszka Cebe („Obcy”). Jego wykład starszego i niepozornego człowieka nie zwracał niczyjej uwagi.

Działalność AL-owców obejmowała dwa rejon: Dąbrowa Zielona, Maluszyń, Koniepol w pow. radomszczańskim oraz Przysrów i Janów w pow. częstochowskim. W myśl poleceń tow.

„Juliana” (Aleksander Burski — obecnie wiceprzewodniczący CRZZ) powołano „Obcego” na stanowisko sekretarza komitetu rejonowego PPR.

W przebraniu handlarza wiejskiego wędrował „Obcy” od wioski do wioski. Nawiązywał kontakty, agitował najlepszych ludzi do partii, dostarczał literaturę partyjną, organizował kół PPR, werbował partyzantów do AL. W Maluszyń, w mieszkaniu tow. Skiby, o mało nie wpadł w ręce hitlerowców. Odbywało się właśnie zebranie partyjne, gdy na gromadzkim dziedzińcu zatrzymał się ciężarówka, naładowana żandarmami hitlerowskimi. Pięciu towarzyszy wyskoczyło oknem. Pozostał jedynie „Obcy”, który wsunąłszy do worka z mąką protokół posiedzenia i gazety partyjne z najprzejrzejszą w świecie miną czynił „gościom” honory domu.

Cebo potrafił zmobilizować do walki gromady swego rejonu. Dniem chłopci pracowali w gospodarstwach, przygotowywali się do orki wiosennej, lecz ciemną nocą ożywały polany i lasy, rozlegały się echa metalicznych dzwików. Gdzieś tam na polanie Soborzyc — Cudków lotnicy radziecy zrzucili ładunek. Na „Julianca” wykoili się pocigi, wiozący amunicję na wschodni front. W Dąbrowie Zielonej, Olbrachc, Sekursku i w innych dworach formalne stawali się hardzi i „zuchwali” wobec pań. Dzieci Biedrzycki z Sekurska, stary przedwojenny endeck, dowiedział się jakimś „psim śwędem” o utworzeniu komitetów folwarcznych.

— Nie podnoście głowy, chamy, bo je wam skróćmy — zagroził.

Na wsiach zaroilo się od hitlerowców. Pojawiali się też bandy NSZ i AK. Dniem i nocą ich członkowie myśleli w lasach i chałupach chłopów. Hitlerowcy imali się różnych sposobów, by ująć AL-owców.

W grupie „Krupka”, odbierającej zrzuty radzieckie pojawił się nowy „partyżant”. Mówił, że jest Rosjaninem i uciekł z niewoli niemieckiej. Lecz bystre oczy „Obcego” dostrzegły nabyt wypiełgnowane ręce „jeńca” hitlerowskiego.

Podzielił się obserwacjami z majorem „Górą”. Po zaarrestowaniu „jeńca” okazało się, że miał on na ramieniu wytatuowany symbol hitlerowski. Gestapowski szpieg został skazany na karę śmierci.

Nie mogąc się doczekać powrotu szpiega, hitlerowcy skoncentrowali

większą ilość wojsk oraz lotnictwa i przystąpili do pacyfikacji oddziałów partyzanckich w Polichnie, gdzie mieścił się batalion AL majora „Góry”. W kilkugodzinnej walce hitlerowcy stracili ponad 200 żołnierzy.

Pragnąc za wszelką cenę rozbić sztab AL, hitlerowcy zastosowali nowy chwyt.

W połowie 1944 roku pojawiła się w lasach cieleńskich grupa dobrze uzbrojonych partyzantów pod dowództwem rzekomego uciekiniera z obozu, Czecha Kurtza. Grupa ta pomagała innym oddziałom AL w akcjach bojowych. Trzymała się jednak stale na uboczu. Oficer organizacyjny „Obcy”, analizując wyniki ostatnich akcji, stwierdził nienowotne dotychczas straty AL-owców. Postanowił wziąć oddział Kurtza pod obserwację. Podczas nieobecności tego ostatniego zbadano jego bagaż. Znalezione w nim mundur żołnierza hitlerowskiego oraz prawdziwe dokumenty Kurtza. Wyrokiem Sądu Wojskowego AL, rozstrzelano podług gadzinie hitlerowskiej.

Gdy pod naporem młodziącej siły Armii Czerwonej wycofywały się wojska hitlerowskie na zachód, w ślad za nimi pomykały liczne bandy NSZ. Zamiast walczyć z hitlerowcami, NSZ-owcy mordowali działaczy ludowych i komunistycznych, aresztowali sympatyków AL. W tej zbrodniowej działalności pomagali im miejscowi obszarnci. Zamordowani AL-owcy bandy zakopywali na polnych drogach dla zatarcia śladów. Na polecenie tow. „Obcego” partyzanci zaarrestowali pewnej nocy wszystkich obszarnców, trzymających ich w charakterze zakładników. NSZ-owcy „zmieklili”. Przryzkieli zwinili uwieczonych chłopów, pod warunkiem wypuszczenia na wolność obszarnców Biedrzyckiego i jego żonę, Bieżyńskiego. Okazało się, że obaj jaśnie panowie kierowali miejscową bandą NSZ-u...

*

POLSKA Partia Robotnicza, przygotowując się do objęcia władzy, zalecała przeprowadzić jeszcze w okresie okupacji wybory rad gminnych, sołtysów, komitetów folwarcznych i dworskich oraz komendantów M. O. Z ramienia partii akcję tę przeprowadził sekretarz rejonowy tow. „Obcy”. A kiedy 15 stycznia 1945 roku Armia Czerwona wyzwoliła ziemię radomszczańską, „Obcy” otrzymał urzędowe pismo, upoważniające go do

przejęcia i ochrony majątków w myśl zarządzeń Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polski: — „Wzywa się wszystkich obywateli do respektowania pełnomocnika rządu oraz przedstawiciela PPR, tow. „Obcego” — Ceby”.

Nie dopuścimy, by powtórzył się 18-ty rok — oświadczył „Obcy”, przystępując wraz z komitetami dworskimi do wywłaszczenia obszarnców.

Walka, która zdawało się, została zakończona wraz z wyzwoleniem Polski, rozgorzała teraz nowym plomieniem. Wywłaszczonym obszarncom przyszły w sukurs bandy NSZ i AK. Rozpoczęły one polowanie na „Obcego”. 30 listopada 1945 r. banda „Warszycy” dokonała zbrojnego napadu na jego dom, lecz mimo usilnych poszukiwań „Obcy” pozostał nieuchwytny. Miejscowi AK-owcy z Dąbrowy Zielonej, Jan Czarnota i Sosnecki, broniąc majątki obszarnców, wyznaczili 20 tys. złotych nagrody temu, kto zabije „Obcego”. Przybyły z Sosnowca pluton egzekucyjny AK wdarł się do mieszkania Ceby, lecz właśnie w tym czasie „Obcy” był na posiedzeniu Komitetu Gminnego PPR. W dni Referendum bandy rzuciły granat pod łóżko „Obcego”, ostrzelali jego mieszkanie. Bandyci byli pewni, że zniestanawiony działacz zginął, lecz „Obcy”, jako pełnomocnik Referendum, odjechał właśnie z głosami do Radomska. Nie zrezygnowali rodzimi faszcyści z dalszych prób uchwycenia „Obcego”, ale za każdym razem natykali się na nieprzewidywalne przeszkody, spowodowane ostrożnością dzielnego bojownika rewolucji. Nie „pomogła” nawet bomba „schpengstoff-u”, podłożona pod mieszkanie. Czujne oko „Obcego” dostrzegło niebezpieczny ładunek.

Umościł się w ławie ludowej oraz likwidacji band NSZ-owskich w powiecie radomszczańskim zakończyła ten najniebezpieczniejszy okres w życiu „Obcego”.

Skromny, cichy człowiek, który całe swe życie poświęcił sprawie robotniczej walczyć nieustannie o władzę ludu, pracując dziś na swej działce ogrodowej, otrzymanej z Reformy Rolnej. Górnik Franciszek Cebo liczy już 60 lat.

— Jeszcze powrócę do pracy partyjnej — oświadcza — walka nie jest skończona. Muszę tylko nabrać nowych sił, by dotrzymać kroku młodszemu...

Jan Adamowski

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI

«MYŚL FILOZOFICZNA»

„...teoria staje się bezprzedmiotowa, jeżeli nie jest związana z rewolucyjną praktyką... Ale teoria może się stać obryzgią siły ruchu robotniczego, jeżeli kształtuje się w nierozdzielalnym związku z rewolucyjną praktyką, gdyż ona i tylko ona może dać ruchowi pewność, siłę orientacji i zrozumienie wewnętrznej dynamiki, gdyż ona i tylko ona może pomóc praktyce do zrozumienia nie tylko tego, jak i w jakim kierunku odbywa się ruch klas w teraźniejszości, lecz również tego, jak i w jakim kierunku musi się on odbywać w najbliższej przyszłości”.

STALIN

POSTULAT aktywności w stosunku do życia społecznego i przyrody może więc spełnić i spełnia filozofia marksistowska o tyle, o ile śmiało i wytrwale nadąża w swych teoretycznych uogólnieniach za narastającym materiałem nowych faktów, wyrastających z głębi gospodarczo - społecznej w procesie historycznego rozwoju. Z tym stanem rzeczy musi się liczyć filozofia marksizmu we wszystkich krajach i czasach, nie tylko w kraju zwycięskiego już socjalizmu, lecz również w krajach demokracji ludowych, których rozwój gospodarczo-społeczny dostarcza szczególnie obfitego a zarazem, w określonym sensie, specyficznego materiału z zakresu zjawisk gospodarczych, społecznych, politycznych, kulturalnych i inn.

Dla filozofii marksistowskiej, filozofii o niezmiennej rewolucyjnej postawie wobec rzeczywistości, niejako ex definitione, co stanowi warunek jej egzystencji właśnie w charakterze marksistowskiej filozofii — wynika konieczność uogólniania materiału faktycznego i służenia rewolucyjnej praktyce klasy robotniczej. Ponieważ zaś, jak mówi Lenin, „wszystkie narody dojdą do socjalizmu, to jest nieuchronne, ale wszystkie one dojdą niepełnie jednakowo, każdy wniesie swą specyfikę w te, czy inną formę demokracji, w tę lub inną odmianę dyktatury proletariatu, w to lub inne tempo socjalistycznego przekształcenia różnych stron życia społecznego” — przeto przed filozofią marksistowską poszczególnych krajów demokracji ludowej a więc i Polski stoi zadanie śledzenia i formułowania teoretycznego tej specyfiki we wszystkich dziedzinach naszego życia.

Czy zadanie to realizowała marksistowska filozofia w Polsce demokratycznie - ludowej? Niewątpliwie tak, jakkolwiek realizacja ta nie była dziełem ośrodków uniwersyteckich, a przedstawicieli i kolektywów central-

nych ośrodków Partii. W artykule prof. Hochfelda w „Myśli Filozoficznej” czytamy: „Plenarne posiedzenia KC PZPR, przemówienia i artykuły przewodników Partii, w szczególności zaś każde wystąpienie Prezydenta Bieruta — to twórcze podsumowywanie doświadczeń mas, to twórcza analiza osiągnięć, przebytej drogi, aktualnej sytuacji, perspektyw rozwojowych i zadań. Praca Partii i Rządu w naszym systemie demokracji ludowej — tak jak w każdym systemie dyktatury proletariatu — nie jest i nie może być wleczaniem się w ogoneń żywiołowych procesów społecznych; jest natomiast i musi być kierownictwem, opartym na stałym uogólnianiu danych praktyki, formułowaniu tez teoretycznych i wysuwaniu zadań, w których realizacji teoria sprawdza się i zarazem wzbogaca”.

Stąd płynnie nakaz włączenia się filozofów polskich w te prace „kierowane wskazaniami Partii, w której działaniu krystalizuje się ogromne zadanie przewidzenia przyszłości i teraźniejszości, doświadczenie mas, uogólnienie przy pomocy marksistowsko-leninowskiej teorii i metody”.

*

Ukazanie się w bieżącym roku nowego centralnego czasopisma filozoficznego w Polsce pod nazwą „Myśl Filozoficzna” w wyniku realizacji uchwały I Kongresu Nauki Polskiej, należy traktować, jak i przede wszystkim sam Kongres, za punkt zwrotny również w rozwoju filozofii polskiej. Wydaje się, że zarówno obrady Podsekcji Filozofii i Nauk Społecznych I Kongresu Nauki, jak i „Myśl Filozoficzna” — stanowią już świadectwo zmiany, polegające na rozpoczęciu bardziej widocznej ofensywy marksizmu - leninizmu przeciwko pozostałościom burżuazyjnych poglądów filozoficznych i socjologicznych w Polsce.

Pojawienie się „Myśli Filozoficznej” należy ocenić ze strony obozu marksistowskiego, jako formę dopełnienia i ukonsekwentnienia toczącej się u nas walki klasowej na odcinku ideologicznym. W „Myśli Filozoficznej” marksistowska filozofia znajduje swój organ, jakkolwiek stwierdzenie to nie oznacza ograniczenia łam pisma wyłącznie dla naukowców marksistów. Pod tym względem redakcja formułuje swoją postawę, powołując na wskazywaniu Lenina, nakreślone niegdyś dla czasopisma „Pod sztandarem marksizmu” — „istnieją jeszcze — pisze Lenin — materialistyczne z obzoru nie - komunistów i naszym bezwzględny obowiązkiem jest przyciągnięcie do wspólnej z nami pracy wszystkich zwolenników konsekwentnego i wójającego materializmu w walce z reakcyjnymi prądami w dziedzinie filozofii... Nie mniej, jeśli nie

bardziej ważny dla tej pracy, której wójający materializm powinien dokonać, jest związek z reprezentantami współczesnych nauk przyrodniczych, którzy składają się ku materializmowi i nie boją się bronić go i propagować, wbrew panującym w tak zwanych „kołach wykształconych” modny odchyleniom filozoficznym w stronę idealizmu i sceptycyzmu”.

Nie trzeba podkreślać, jak ważna jest w naszych warunkach walki o marksistowsko myślenie kadry naukowej w każdej dziedzinie wiedzy — ta dyrektywa Lenina. Byłoby obryzgiem osiągnięciem pisma, szerokie i całkowite urzeczywistnienie tego postulatu.

W gąszcz współczesnej problematyki i zadań filozofii marksistowskiej w Polsce wprowadza czytelnika artykuł wstępny, naczelnego redaktora czasopisma, prof. Adama Schaffa „Zadania filozofii filozoficznego w świetle uchwały I Kongresu Nauki Polskiej”. Ponieważ zadania te są zadaniami długofalowymi, obliczonymi na wiele lat realizacji, a równocześnie są w pewnej mierze i zadaniami „Myśli Filozoficznej”, jako centralnego organu filozofii w Polsce — warto je pokrótce zarysować.

„Naczelną zadanie”, które się wysuwa przed nami — pisze prof. Schaff — „...to upowszechnienie filozofii marksistowskiej w masach i dalszy jej rozwój”. Drogi upowszechnienia widzi Schaff w działalności pedagogicznej, wydawniczej, popularyzacyjnej a przede wszystkim w wydawaniu klasyków w języku polskim i zapoznawaniu mas z dorobkiem filozofów radzieckich.

Jeśli chodzi o program dalszego twórczego rozwoju filozofii marksistowskiej, to zawiera on „postulat opracowania nowych zagadnień oraz pogłębienia już znanych... Na szczególną uwagę zasługują jednak zagadnienia metodologii nauk szczegółowych. Tworząc konsekwentnie naukową podstawę ich rozwoju filozofia marksistowska wybitnie przyspiesza ich rozwój i przyczyni się tym samym do bardziej efektywnego podporządkowania przyrody człowiekowi”. W zakresie materializmu historycznego czeka nas ogromnie ważne zadanie uogólniania prawidłowości naszej drogi do socjalizmu.

Zadanie drugie, dotyczące „wykrycia rodzimych korzeni historycznych filozofii marksistowskiej” realizuje się w trzech płaszczyznach. „Po pierwsze należy rozwinąć... ożywioną działalność wydawniczą i dać czytelnikowi teksty polskich filozofów i myślicieli społecznych, które obecnie są niedostępne, przede wszystkim, gdy idzie o prace starsze (XIV w.), a w wielu wypadkach nawet, gdy idzie o myślicieli wieku XVIII i XIX”. Wykonać to powołano do życia Biblioteka Klasyków Filozofii.

Jako drugi punkt wymienia Schaff konieczność monograficznego opracowania poszczególnych kierunków i myślicieli, jako trzeci zadanie opracowania szczegółowej historii filozofii i myśli społecznej w Polsce oraz szczegółowej bibliografii tej dziedziny. Jako odrębne zadanie w tej gałęzi wysuwa opracowanie historii filozofii marksistowskiej w Polsce.

Ostatnim głównym zadaniem frontu filozoficznego byłaby walka z tymi kierunkami filozofii czy socjologii polskiej, które hamują rozwój myśli naukowej w Polsce. Tutaj zadaniem byłoby rozbić trzech głównych kierunków międzywojennej, uniwersyteckiej filozofii burżuazyjnej w Polsce, których wpływy zaznaczały się i obecnie: neotomizmu, fenomenologii oraz szkoły lwowsko - warszawskiej o ścisłych koneksjach z neopoztywizmem. W socjologii byłaby to walka przede wszystkim z idealizmem subiektywnym Znanieckiego.

*

Zapoczątkowaniem oczyszczania gruntu pod zwycięstwo teorii i metodologii socjologii marksistowskiej w Polsce są umieszczone w 1 — 2 numerze „Myśli Filozoficznej” dwa artykuły dyskusyjne, atakujące pozycje socjologii burżuazyjnej, J. Hochfelda i J. Chłasińskiego. Z nich, artykuł Hochfelda stanowi próbę całostowego zarysu stosunku materializmu historycznego do socjologii burżuazyjnej, artykuł zaś Chłasińskiego, jest w istocie rzeczy próbą ucieczki samokrytyki tego znanego socjologa polskiego i jako taki stanowi materiał bardzo ciekawy. Chłasiński w artykule tym daje krytykę swojej przedwojennej a zarazem również w początkach powojennej postawy naukowej, rozpatrując ją zasadniczo na przykładzie pracy „Młode Pokolenie Chłopów”. Pracę tę, która przed wojną wywołała wielkie zainteresowanie, a której ideologiczny charakter antyrewołucyjny kół reakcyjne spod znaku Pilsudskiego szybko rozpoznały i pozytywnie oceniły — autor, uznający dzisiaj słusność naukową metody materializmu historycznego w badaniach społecznych, ocenia jako chybną i fałszywą metodologicznie, w konsekwencji wypelnioną fałszywymi rzeczywistościami wnioskami. Metoda i konstrukcja pojęciowa tej pracy wyrosły z subiektywnego idealizmu (Znaniecki), który z kolei był odpowiedzią na zapotrębowanie społeczne coraz bardziej fałszywej burżuazji polskiej — toteż nie dziwnego, że teoria i metoda, jakie leży u podstaw tej pracy, doprowadziły do reakcyjnych wniosków społecznych i politycznych. Generalnie wnioskami odczytanym przez burżazję z pracy Chłasińskiego było: „Czy młodziż jest rewolucyjna? Z omawianych pamiętników tego nie

widzieć. Przeciwnie — występuje tam idea budowy siły w sposób ewolucyjny, przede wszystkim poprzez oświatę i podnoszenie bytu materialnego. Nie natrafia się natomiast na skłonności do zrywów obliczonych na krótką metę — choć nie brak objawów zniecierpliwienia”. (Polityka, 30.IV.1939 r.).

Wypowiedź Chłasińskiego jest niewątpliwie cennym przykładem samokrytyki naukowca, który choć nie z lekkiem sercem rozprawia się z poważną częścią swego dorobku naukowego — potwierdzając obiektywnie burżuazyjną treść omawianej pracy. „Młode Pokolenie Chłopów” — pisze Chłasiński — „traktowało ruch młodochłopski, jako samoistny, izolowany od rewolucyjnego ruchu klasy robotniczej, czynnik emancypacji społecznej wsi polskiej. Ale taka rzekoma samoistość ruchu chłopskiego w warunkach kapitalistycznych, takie wyrwanie chłopstwa z sojuszu robotniczo - chłopskiego pod przywództwem proletariatu — to oddawanie mas chłopskich pod komendę wiejskiego bogacza, wiejskiego kapitalisty, kulaka”.

„Podstawowy rys... metodologii Młodego Pokolenia Chłopów polega na eliminacji rewolucji proletariackiej, jako istotnego, konstruktywnego elementu procesu społeczno-historycznego. Autor napisał Młode Pokolenie Chłopów w oparciu o pewną odmianę idealistycznej metody dialego, że ta metoda miała ideologiczny charakter antyrewołucyjny”.

I wreszcie: „...elementarny postulat dotyczący samego postawienia problemu nie został spełniony w Młodym Pokoleniu Chłopów. Problematyka tego studium została oderwana od konkretnego ekonomicznego - społecznego kontekstu określonej historycznej formacji i potraktowana w taki sposób, jak gdyby procesy przeobrażania wsi polskiej kształtowały się w płaszczyźnie psychologicznej niezależnie od prawidłowości rozwoju kapitalizmu” (wszystkie podkreślenia Chłasińskiego).

Oprócz prac wymienionych, omawiany numer Myśli Filozoficznej zawiera jeszcze m. i. artykuły: Ajdukiewicz o potrzebach logiki w Polsce, Kotarbińskiego o Bibliotece Klasyków Filozofii, Martela o sojuszu robotniczo - chłopskim, radzieckim uczonego, znanego w Polsce prof. G. Wasieckiego o Herzenie. B. Baczkowski o poglądach filozoficznych i społeczno-politycznych Kotarbińskiego, Mantele o imperialistycznej ideologii Watykanu oraz Lewickiej o fonemii i Zonana o kosmogonii radzieckiej. Numer zamyka dział krytyki i bibliografii.

Władysław Leszczyński

*) „Myśl Filozoficzna”, nr. 1 — 2, 1951 r.

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

PIEŚŃ O KOSTCE NAPIERSKIM

Parę słów od autora

JAK powiada Juliusz Zborowski, kustosz muzeum tatrzańskiego w Zakopanem, żaden z pisarzy polskich mających jakikolwiek twórczy styczność z Podhalem nie omiął w swej tematyce ani „Janosika” ani „Koski-Napierskiego”. Tematyka ta bardzo popularna i zrośnięta z regionem, w różnej mierze zapożyciła twórczość poetycką, dramatyczną i prozatorską. Wymienimy najślawniejszych jak Kasprowicz (dramat o Koscie-Napierskim), Kazimierz Przerwa-Tetmajer (Legenda Tatr, Ballady o Janosiku), Władysław Orkan (Koska-Napierski — powieść). Z późniejszych zasługuje na wspomnienie Feliks Gwiżdż. Obecnie tematyką tą zajęli się w swojej artystycznej twórczości Stanisław Skoneczny i podpisany.

Moja „Pieśń o Koscie-Napierskim” powstała w ubiegłym roku, to jest w czasie, gdy nasze społeczeństwo przypominało sobie o powstaniach ludu podhalańskiego w XVII w. przeciw uciśkowi szlacheckiemu i obchodziło 300-lecie jednego z tych powstań, pod wodzą Koski Napierskiego, który zginął na palu w Krakowie. Z powodu tej rocznicy pojawiła się w prasie polskiej spora ilość publikacji, traktujących o buntach chłopów na Podhalu. Historia ludu podhalańskiego i jego bohaterów zrywała została w ten sposób wpleciona w ogólną historię narodu.

Moim pierwszym zamierzeniem artystycznym było napisanie paruset wierszowego poematu, poświęconego rocznicy powstania. Fragmenty takiego poematu były drukowane na łamach „Wiś” w styczniu ub.r. Jednak temat, wydawałoby się tak często obrabiany, poniósł mnie dalej. Powstał duży poemat o sześciu pieśniach i blisko 5 tysiącach, równego, upodobiętego do ludowej pieśni, czarna-stozłostkowego wiersza. Głównymi bohaterami poematu są: Koska-Napierski, marzący o tronie na krakowskim zamku, lecz jednocześnie także o daniu „śleboty” ludowi, romantyczny, wyjęty z legendy, naturalny syn królewski; jakby z granitu wykuta postać nieustraszonego obrońcy praw chłopów Stanisława Łętowskiego, zwanego pospolicie Marszałkiem, bohatera poprzednich walk z grabieżą Komorowskim oraz Marcina Radockiego, nauczyciela czyli rektora wiejskiej szkoły w Pciimiu, gorącego orędownika i przyjaciela ludu. Prócz nich są w poemacie zwyčajni chłopci, biedni i gniejni, zawsze na przednówku głodni i dlatego gotowi bić się o swoją wolność. Jako konieczny wręt do fabuły wprowadziłem osoby Sawki i Czepca, znanych harnasiów zbojnickich, których

ratuje Koska od szubienicznej śmierci. Sąd magdeburskiej ławy królewskiego miasta Nowego Targu jest koniecznym akcesorium ówczesnych stunków. Jedną z głównych postaci jest także pleban nowotarski, chytry i dbający o swoje dobro ksiądz Bytomski, dla którego ustrój niewolniczo-feudalny jest alfa i omega społecznego porządku. Walczy też z buntem wszystkich środkami, jakie posiada, a ma ich sporo. Oprócz nadprzyrodzonych, którymi straszy swoje ciemne owieczki, posiada wpływ u kościelnych sług, niektórych soltysów itd., donosi o mającym nastąpić buncie biskupowi, bierze wreszcie dość znaczny udział w oblężeniu Czorsztyna. Reszta osób jak biskup Gębicki, starosta dobczycki Jordan, pułkownik Jarecki, czy nawet pocztowy podstarosta Zdanowski są osobami historycznymi i obracają się w ramach historii.

We wszystkich strofach poematu dalem nacisk na więcej mocny wiatr od wschodu, na pełne powstanie kozacko-chłopskie pod przewodnictwem Bohdana Chmielnickiego, pod którego to wiatru tchnieniem wybuchło także opisane przeze mnie powstanie. Z dziejowych burz, z wiekowych zmagających prostego ludu o prawo i ślebotę, z jego głodnych lat i męczeńskiego trudu przyszło nareszcie wybawienie i pełne ludowładztwo. Nowej Polski, które dziś obkłada się w najwspanialszą w historii naszej księgę praw — Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Aby wyrazić to obywateli osiągnięcia należało pogrzebać w historii. „Kto jedzie naprzód, musi się oglądać na tylny koła” — powiedział kiedyś stary Sabala. Dlatego i ja oglądając się w tył zobaczyłem dla swojego poematu nieszczęśliwy, ale bohater dla gór rali wiek XVII. Intencja więc mojego zamierzenia artystycznego była czysta. Reszta należy do tych, którym oddaję do rąk poemat. Ci, co będą czytali, mają prawo sądu. — Mogę jedynie stwierdzić, że dotychczasowa moja twórczość, chociaż skromna i wąskim połokiem góralskiego regionu płynąca, jednak przyjęła się w tym regionie. Pełno jej w świetlicach ludowych. Oprócz tego utwór mój są śpiewane i recytowane przez zespoły artystyczne, organizowane dla czasów pracowniczych. To zachęca mnie do dalszej pracy i chyba z okresu buntów chłopów przed końcem br. nie wyjdę. Zaczętem dalszy ciąg a raczej drugi tom pieśni o Koscie-Napierskim p.t. „Jak było dawniej” oraz kończąc dramat dla świetlic o Łętowskim p.t. „O prawo”. Tyle.

Stanisław Nędza-Kubiniec

Uciekał pan Jordan szybko spod czorsztynskich murów, lecz szybciej się wieść rozbiegła na Podhalu gwar. Wieją pany, grzmia podkowy — na dół od Krośnicy, huczą w górach chłopskie śpiewy — w całej okolicy. Zmyka Jordan, ogłada się — cwałem do Krośnica, śpiew chłopski się poniosł echem — upadł promień słonka. Zaczął czerwiec w górach lato — kwitną grzędy bobu, przednówkiem się ęmi Podhale — wyje brzuch od głodu. Baby z Bańskiej łażą grupą — po wysokiej miedzy, zbierający wamuz plony — o Czorsztynie radzą. Cichcem w szepcie ugwarzają — nie trzeba się chwalić, ale pono nasze chłopcy panom się nie dali. Porąbali, posiekali na drobne ich głowy, utrzymali w swoich rękach — zameczek ciosowy. Skoro panów precz wyżeną — na dobre się zmieni, hej nie będą ludzie zdychać zaraz od jesieni. Wygnać jasných gnebieli — co naszą krew chłepczą, podniosą się głowy w górę i bary uleczą. Rozgorzał bunt na Podhalu — na całym Pogórze, rozgarzały się gromady — aż się z czupryn kurzy. Ruszają się nad Dunajcem i nad Rabą rzeką, poszły hyry o Napierskim — wzdłuż i wszerz daleko. Poprzez Gorce od Podhala — aż do Wadowic, że się chłopom na osłode — objawił królewicz. Ze się z króla Władysława syna urodził, który każe, by się w Polsce naród wyswobodził. Kuja w kuźniach kowalowie — kosy, ostre drągi, idą czasy jakichś dotąd nie pisali księgi. Dowiedział się o porażce — Na Wawelu biskup, zadumał się, z długiej brody — pęki włosów wyskubił. Kopnął nogą aż daleko odpadł kerpiec złoty, przestraszone kanoniki, w pięć ni w dziewięć plotą. „Trzęsiecie się jak osiki — cóż mi to za rada, zapalił się pożar w kraju — gasić go wypada. I nie wodą go zalewać ale krwią czerwona, hej ojcowie kanonicy — radźcie za obronę. Wytrząsajcie złoto z kiesek — trza kieszenią ruszyć, przyjdą siumni chłopcy od Tatr — to wam je wypruszą. Hej trzęsą się kanoniki przed groźnym biskupem, Jak tu radzić, by się nie stać — buntowników łupem. Rządź biskupie, tyś pasterzem a my trzódka boża, broń kościół i ojczyznę gdy nam gromy grożą... Rzuć biskup twarde rozkazy — gromom i starostom, aby siły jakie mają gromadzili w miastach. W Nowym Sączu i Tarnowie — Muszynie, Lubowli, bunt poddanych groza boska — wszystkich kar są godni. Sle umyślonych po zacięgi do bliskiego Śląska, sami garną się zaciężni, kiedy kiesa ciężka. Szybko idzie zawołanie nie minieła doba, a już biskup znaczne siły — zbrojnych przysposobił I staremu Jareckiemu dowództwo powierza, wraz z rozkazem, by pod Czorsztyn jak najprędzej biegał. Ostrym mieczem, żeby ścinał — ciężką kroczył stopą, by się buntu odniechciało — podhalańskim chłopom. Był Jarecki starym wodzem. Z królem Władysławem, udział w boju brał niejednym — miał dobrą zaprawę. Ze nie poszedł w Ukrainę — winą to starości, ale teraz wziął dowództwo. Żołnierską powinność chciał wypełnić. I jak wymaga statut wojskowy, po żołniersku, szybko sprawnie — zajął się wyprawą. Dudnią koła, dzwiczą działa — ściągają gońce, wyruszyło wojsko w pochód — przed wychodem słońca. A z Podhala nowe wieści przysłyły od plebanów, że się chłopka lić poruszy — w dzień świętego Jana. Zanim chłopskie morze ruszy i Kraków zaleje,

już Jarecki ruszył wojsko — więc pierwszy uśpieje sądził biskup... Wstało krwawo ranne słońce — lśnią Dunajca fale, i czerni się tyn czorsztynski na wysokiej skale. Nie doczekam się z Preszowa — prochu przywiezienia, A bez prochu my w Czorsztynie — jakby we więzieniu, Mówi Koska do Matusa — chmurnym wzrokiem błdzi: trzeba pochód ku Krakowie czempredzej zarządzić. Trzeba będzie n.kierować na dół chłopskie fale, my bez prochu dać możemy — głowy na tej skale. Spora droga do Preszowa — mil będzie dwadzieścia, może konie okulały. — Lecz zjawia się wreszcie. Skrobie Matus się po głowie — mówiący te słowa, kazy się tak zapodziały — az mi pęka głowa. Stasz Pietr z Maruszyny — jest chłop jak się patrzy, oczy w przodzie ma i w tyle. Tylko ich tu patrzeć. Chyba gdyby. — Stary Matus splunął w dal przez zęby, nie chce żeby głowie słowo wypadło mi z gęby. Uradzili więc niechcący — czekać jednym dzionkiem, potem ruszyć jeszcze przed dniem — nim zabrzni skowronkiem. Nie krył Koska się przed nikim, ze swoich zamiarów, wypełniło się Podhale jednym wielkim gwarem. Pisz Koska uniwersał rektorowi z Pciimia, należy się w imię boże rzecz całą zaczynać. Powiedział wszystkim chłopom wokół — kończy się zła doła, jedna będzie sprawiedliwość — jeden pokos w polu. Już nie będzie nad narodem, jasných i wielmożnych, wszystkie krzydy i niedole dziś zapłacić można... Pisz Koska Zdanowskiemu wierszem rymowanym: — „Zegnaj ojcie, Dobrodzieju — zostawiam cię samym. Bóg mi zdarzył nad Jordanem znaczną wiktoria, chciał mnie dobrać razem z zamkiem — ze sromu się myje. Lwa groźnego tylko zbudził. — Chciał mnie jeść w śmietanie, z kolegami. Sam nie starczył nawet na śniadanie. Chciałbym ciebie mieć u siebie — lecz wiel twój sędziwy nie pozwoli ci na podróz. W czasie nieszczęśliwym, żyć nam przyszło. Gotuje się wielkie krwi przelanie, ale z krwi tej nasza Polska w nowej chwale stanie. Z wszystkich grzechów oczyszczona — jak lud prosty prosta, wspominał mnie zawsze dobrze.

Lew z Sternberku Koska...

Zajaśniało na Podhalu — jedną białą rosą, wstali chłopci robić kość — zegnają się kosą. Zajaśniało na Podhalu — srebrnych kos tysiące, Hej wykoszą żywe chwasty i osty kolące. Wyszli żęńcy na Podhale i czekają hasła, zapali się watra w Gorcach — byle nie zagasła... Grzmi Łętowski po dziedzinach: chłopci czas nie drzeć, a chłopci się pobudzili — nie da się ich wstrzymać. Hej marszałku prowadź-że nas, żytko się wykłosi, nie będziemy o ślebotę jasných panów prosić. I podskoczył sam Łętowski konno do Czorsztyna, trzeba ruszyć pułkownikowi nie czas chłopów trzymać. Zegnał konia do pian białych — przyjechał o zmierzchu, Przyjął Koska go serdecznie — o nowiny pyta, Wyruszymy chyba w pole — tylko zacznie świtać. Wszystek naród już gotowy — od Tatr aż po Gorce, kiedy fakły zapalimy rozwidni się w Polsce. Grzmia z kazalnicy plebanowie — krzyczą do wyucdu, lecz się serce nie zmieniało góralskiego ludu. Rozbił święty Marek palec — szedł boso przez pole, chłop roześmiał się szeroko — chce zmienić swą dole. Hej ucieka święty Marek — na złość ludu płacze, a lud pragnie tylko zmienić — swe życie sobacze. Całe życie chodził boso i stapał po grudzie, wbrew świętościom jasných panów — za ślebotą pójdzie.

STANISŁAW ORZEŁ

W TARNOBREZESKIM

NOWA Konstytucja interesuje wszystkich przede wszystkim dlatego, że jest żywą, to znaczy, że wyraża to, co naród wywalczył, co wypracował i zbudował. Cieszy — bo jest myślą i sercem obywateli, raduje — bo widzi się w niej nie tylko wczoraj i dzisiaj, ale i jutro.

Mnie jako nauczyciela zainteresowały przede wszystkim artykuły mówiące o kulturze, oświacie i nauce.

„Obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Łudowej mają prawo do nauki” głosi art. 61. Prawo to zdobył naród już w roku 1944, kiedy to dosłownie w ogniu jeszcze bitewnym nauczyciel rozpoczynał naukę w szkole, pozbawionej najcenniejszych wszelkich sprzętów. Dumny jestem, że wówczas, jako sekretarz Inspektoratu Szkolnego wspólnie z ówczesnym inspektorem szkolnym J. Wierzbickim organizowaliśmy szkolnictwo podstawowe na przyfrontowym pasie nadwiślańskim.

Rok szkolny 1944-45 w pow. tarnobrzezkim już wtedy rozpoczął redakcję 61 artykułu dzisiejszego projektu Konstytucji pracą w 66 szkołach podstawowych i dwóch średnich.

W bieżącym roku szkolnym szkoły podstawowe objęły przeszło 8600 dzieci w powiecie. Nie ma już obwodów bezszkolnych, nie ma dzieci poza szkołą, powiat zlikwidował u siebie analfabetyzm. Powszechność i bezpłatność zastrzeżone projektem Konstytucji, jako prawa obywatelskie są już w pełni realizowane. Stała się budowa szkolnictwa średniego ogólnokształcącego i zawodowego znalazła swój wyraz w niespotykanym przed wojną wzroście szkół średnich. W powiecie istnieją dwie szkoły średnie, ogólnokształcące stopnia licealnego w Tarnobrzegu i Rozwadowie, jedna szkoła zawodowa w Dębnie, klasy ósme i dziewięć w Gębowie, Technicum Handlowe i Technicum Metalowe dla ciężkiego przemysłu w Rozwadowie, zasadnicza szkoła Metalowa w Tarnobrzegu i Liceum Rolnicze w Dzikowie. Przed wojną nie było w całym powiecie ani jednej szkoły zawodowej. — Dzisiaj szkoły te obejmują razem przeszło 1700 mło-

dzień robotniczej i chłopskiej, biedniackiej i średniackiej. Ich powożna, jak na okrąg rolniczy liczbą świadczą o głębokich przemianach gospodarczych powiatu, który poszczycić się już może fabryką koronek w Skopaniu, czy Zakładami „Wisła” w Tarnobrzegu.

Kiedy jeszcze w roku 1949 trzeba było aż typować i niemal siłą kierować część młodzieży z Liceum Ogólnokształcącego do średniej szkoły mechanicznej w Ropczycach, to w bieżącym roku szkolnym zdarzało się odwrotnie np. szkoła podstawowa w Chmielowie na 37 uczniów klasy siódmej tylko jednego przesyłała do Liceum Ogólnokształcącego, a resztę skierowała do szkół zawodowych, bo tego chcieli rodzice.

Spokojnie patrzymy w jutro, gdyż projekt Konstytucji wyraźnie powiada w art. 61 punkt 2, że „Prawo do nauki zapewnia w coraz szerszym zakresie stała rozbudowa szkolnictwa średniego ogólnokształcącego i zawodowego”. Nie zostaną dzieci bez szkoły z braku miejsca. Nie zostaną dzieci w domu wskutek niemożności. Ten sam art. 61 mówi wyraźnie o stypendiach, bursach i internatach i innych formach pomocy materialnej dla dzieci robotników, pracujących chłopów i inteligencji.

W samym Tarnobrzegu, liczącym 3.000 mieszkańców są w tej chwili dwa internaty i jedna bursa. W samym tylko Liceum Ogólnokształcącym młodzież otrzymała w br. szkolnym 85 stypendiów na sumę 7020 złotych w porównaniu z 71 stypendiów na sumę 5.400 zł. w roku ubiegłym.

Powiat ma już teraz własną inteligencję wyrosłą i wychowaną w nowych szkołach. Lekarz ob. M. wrócił po studiach do Tarnobrzegu. Inni po ukończeniu szkół średnich zajęli miejsca w biurach, sklepach GS-u, w punktach skupu i kontraktacji. Nie ma w Tarnobrzegu, a nawet w całym powiecie takiej placówki kulturalnej, społecznej czy gospodarczej,

gdzieby nie pracowali synowie wsi. Siedem lat pracy oświatowej w powiecie dało wsi i miastu nową inteligencję. Jest młody nauczyciel zempowic Furmanik z Jeziora, Scipien St. kierownik szkół. kadr w PZG-ie, Serafin członek MRN w Tarnobrzegu, są inni członkowie Prez. PRN, GRN, pracownicy Banków, jak ob. Świerk, poczyt itp.

Zrozumiała biedniacka i średniacka młodzież chłopska swoją rolę w doniosłych przemianach społecznych wsi. Najlepiej charakteryzuje jej postawę sam dyrektor Liceum Rolniczego ob. Weislik. „Liceum Rolnicze liczyło w roku 1945 zaledwie 19 uczniów i sztucznie utrzymywane było przy życiu. Młodzież wiejska omijała szkoły. Dziś 220 uczniów kształci się na przyszłych agronomów, inżynierów i techników. Z 276 absolwentów ok. 50-ciu studiuje weterynarię. Pozostali pracują już zawodowo. Prawie wszystkie stanowiska agronomów w POM-ach w województwie rzeszowskim zajmują b. wychowankowie Liceum Rolniczego w Dzikowie. Dyrektor Weislik z dumą wylicza najbardziej wartościowych swoich uczniów.

St. Tybinka — zastępca kier. Wydziału Rolnego KW, Głen Tadeusz — dyrektor zespołu PGR w Olsztynie, odznaczony złotym Krzyżem Zasługi. Zbożył Roman — woj. inspektor trzody chlewnej w Przemyśle. Ciekła Mieczysław — okręgowy insp. chowu koni — Przemyśl. Madejski Zygmunt — instr. Kadr przy Pr. WRN w Kielcach. Ługan K. — kierownik kursu dla kierow. brzydzistów i księgowych spółdzielni rolniczych w Rzeszowie. Potem idzie cała litania pracowników w powiecie. Nie dziwne, że Liceum Rolnicze w Dzikowie zostało w grudniu 1951 roku wyróżnione i przedstawione do nagrody państwowej, jako wzorowa szkoła rolnicza.

Stanisław Orzeł

JAN MARSZAŁEK

W ŁÓDZKIM

JEDNĄ z charakterystycznych cech projektu nowej Konstytucji w państwie jest to, że zawarte w niej normy prawne wypełnione są treścią społeczną, że znajduje w nich pełne urzeczywistnienie praktyka nowego życia. Dla przykładu sięgnę do artykułu 61 projektu nowej Konstytucji, który zapewnia obywatelom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej prawo do nauki. Porównam go z rzeczywistością konkretnie znanego mi rejonu szkolnego.

Rejon to niewielki, obejmujący w zasadzie dwie gromady, około 800 mieszkańców, z tych jedna wybitnie biedniacka, druga o pewnej ilości gospodarstw średniorolnych. Przed wojną szkoła mieściła się tu w jednej izbie, wynajętej od dworu. Nauczycielka mieszkała kątem u chłopca sąsiada. W 1945 r. szkoła zostaje przeniesiona do obszernego budynku podworskiego. Budynek rychło zapełnia się sprzętem szkolnym i dziećmi. Już w marcu 1945 r. pracują tu trzy nauczycielki. Dzieci jest około dwudziestu. Duża rozpiętość wieku, zwłaszcza wśród pierwszoklasistów, utrudnia pracę. Klasy liczą po 50 i więcej dzieci. Do września 1945 r. trwa pewien chaos organizacyjny. Brak pomocy, podręczników, nawet programu. Mimo to I.X. 1945 r. grupa 8 bardziej zaawansowanych uczniów zdaje do szkół średnich. W samej szkole prace wkracza już na normalne tory. Początkowo najwyższą klasą jest trzecia. Potem z każdym rokiem klas przybywa. Tak, że w r. szk. 1949/50 wychodzi pierwsza grupa absolwentów pełnej siedmioklasowej szkoły podstawowej w liczbie 36. W następnym roku opuszcza szkołę nowych 33 dzieci. W sumie razem z pierwszą ósemką pokazała to grupa — 77. Co ważniejsze, procent pozostałych w gospodarstwie po skończeniu szkoły podstawowej jest nadzwyczaj niski. Nie przekracza 13 osób. Połowa absolwentów zapełnia ławki w szkołach średnich, ogólnokształcących i zawodowych (6 w liceach pedagogicznych) reszta pracuje zawodowo dokształcając się na kursach. Spośród gromadki wypuszczonej w 1945 r. do szkół średnich — dwie

znajduje się już na studiach uniwersyteckich w Łodzi, trzeci zaś syn malarz, pracujący już jako kwalifikowany nauczyciel szkoły podstawowej, studiuje na studium zaocznym.

Oczywiście nie odbyło się i bez odświegu, około 20 dzieci odpadło z ciągu tych siedmiu lat. Dziewięćdziesiąt procent z tego stanowiła młodzież starsza, opóźniona w nauce, którą ze szkoły zabierała konieczność pracy w domu, pracy na roli. Wydać mi się jednak, że i ci młodzi wrócą kiedyś do książek, na którymś z kursów organizowanych tak licznie dla ludzi pracy. Co było przyczyną tak pozytywnego stosunku do oświaty, do nauki?

Oczywiście nie tylko. t.zw. głód wiedzy, który jest na ogół zwykłym objawem u młodzieży, szczególnie z klas społecznych do niedawna pod tym względem upośledzonych, i który podczas okupacji, zwłaszcza na terenach włączonych do Rzeszy wybitnie przybrał na sile.

Istotnym natomiast czynnikiem jest możliwość zaspakajania tego głodu, oraz pewność łatwego znalezienia zatrudnienia w zawodzie nierolniczym po skończeniu szkoły.

Art. 61 projektu Konstytucji dopiero wtedy nabiera pełnego wyrazu, kiedy rozpatrzy się go łącznie z artykułem gwarantującym prawo do nauki.

O ile w latach 1947—1948 zdarzało się jeszcze często, że robotę w gospodarstwie stawiano na pierwszym miejscu przed szkołą, o tyle w latach następnych na ogół nie ma już w gromadzie rodziców, którzy by mieli jakiegokolwiek zastrzeżenie co do kształcenia swych dzieci. Przeciwnie. Na każdym kroku spotkać się można z troską rodziców o zapewnienie dziecku możliwości kształcenia na poziomie średnim.

Czy to znaczy, że dawny sposób myślenia chłopca został już całkowicie przełamany. Nie. Dowodem tego jest tendencja do kształcenia w szkołach raczej ogólnokształcących niż zawodowych. Są to pozostałości w świadomości chłopca tych czasów, kiedy wykształcenie techniczne nie gwarantowało znalezienia pracy i kiedy tyl-

ko gimnazjum ogólnokształcące dawało cenzus „pana”, a zawodówki były raczej w pogardzie. Tesknoty dostająca się w środowisko inteligencji w starym tego słowa rozumieniu jeszcze pokutują gdzieś niedzie. Ilustracją tego zjawiska mogą być słowa jednej z matek, która po niedanym egzaminie córki do liceum pedagogicznego propozycję skierowania jej „pociechy” do liceum rolniczego zbyła słowami: „Któryś dołć i u mnie się nauczy. Nie potrzebuje na to żadnej szkoły”.

Jeśli chodzi o stosunek do zawodu rolniczego, to w ogromnej większości wyraża się on w naszej wiosce w przekonaniu, że do rolnictwa szkoły nie potrzeba. W ostatnim roku tylko jedna uczennica wyraziła chęć pójścia do liceum rolniczego, a dwóch chłopców chęć pracy w PGR w charakterze traktorzystów.

Jeśli chodzi o zawody pozarolnicze, to jak wspominałem poważaniem największym cieszą się zawody tradycyjne: nauczyciel, doktor, buchalter, pisanie na maszynie.

Ta tendencja ma jednak wszelkie cechy zaniku. I inaczej być nie może, skoro rzeczywistość Polski Ludowej wprowadziła nową, socjalistyczną i jedynie sprawiedliwą hierarchię zawodów. W ten sposób zawody techniczne stają się zawodami najbardziej atrakcyjnymi.

W ciągu ostatniego roku można było pod tym względem zanotować pewien zasadniczy przełom w świadomości ludzi na wsi. Oto jedna z absolwentek w ostatnim roku wstąpiła na kurs pielęgnarski do Krakowa, jedna do Liceum Sztuk Plastycznych, jedna do szkoły włókienniczej, inny do Liceum Administracyjnego, jeszcze inny na elektrotechnikę. Ten sam przełom wyrażał się również w zorganizowaniu w gromadzie, należącej do opisywanego rejonu szkolnego, spółdzielni produkcyjnej I typu.

Ta spółdzielczość produkcyjna, której rozwój zapewnia art. ... projektu Konstytucji będzie ostatecznym i najpewniejszym gwarantem pełnego wykorzystania dobrodziejstwa artykułu 61 przez pracującą chłopca.

Jan Marszałek



Na Festiwalu w Budapeszcie

MIECZYSLAW INGLOT

Pióro walczące

„Wierzę, że my ludzie stworzeni jesteśmy w innym celu, niż po to, aby nawzajem rozrywać się w kawałki bombami. Wierzę, że na naszej planecie jest dość powietrza, pożywienia i dachu nad głową dla wszystkich ludzi. Wierzę, że żaden człowiek nie ma prawa być panem innego człowieka. Wierzę, że dziś najcięższą cnotą jest wzniesienie miecza przeciwko tym, którzy pierwiastki go podnieśli. Nieubлагanie aż do ich całkowitej zagłady. Ażebym wrócił pokój na ziemię. Pokój, braterstwo, równość i wolność.”

Słowa te napisał Teodor Balk, autor i zarazem bohater książki, noszącej sensacyjny tytuł „Zaginiony rękopis” (*). Humanistyczny sens „credo” pisarskiego, wyrzeczonego w tragicznych latach drugiej wojny światowej, przepaja cały jego utwór. Powieść, pamiętnik, reportaż? Określenie rodzajowe książki Balka napotyka na szczególne trudności, już to ze względu na specyficzną zmienność się ustawienie postaci autora — bohatera, już to na wynikającą z tego niejednoznaczność podejścia do rzeczywistości i rozmaitości jej traktowania. Książkę Balka musimy na jej podstawie podzielić na pewne z lekka zarysowane części, obejmujące kolejno: lata przedwojenne; wojnę hiszpańską, obozy we Francji i lata drugiej wojny światowej; oraz lata powojenne — a zasadniczo rozdział p. t. „Wbrew wszelkim oczekiwaniom”.

Znamy rozmaite opowiadania o różnej pracy, w różnych zawodach. Znamy książki, w których pisarze mówią o swoim warsztacie pisarskim. Takimi opowiadaniem o warsztacie postępowego dziennikarza są poszczególne, a przede wszystkim początkowe rozdziały książki Teodora Balka: „Przemyślenia”, „Postępowość”, przy stwierdzeniu, że akcja utworu toczy się w znacznej części na terenach zachodniej i środkowej Europy, przeważnie w latach 1935 — 1940, określa sens tytułu. Postępowość dziennikarza, piszący na terenie, gdzie walczył kapitalizm, musiał być narażony na ukrywanie się, na więzienie i przesładowanie. Zaginione w rozmaitych okolicznościach i nie przy biurku kreślone rękopisy jego reportażu wyznaczają silnie i dobitnie drogę poświęcenia i trudności, jaką przeżywał.

Zasadniczą cechą pierwszej części, pierwszego cyklu rozdziałów omawianej książki jest dokumentarność, w przeważającej mierze, charakter podejścia do omawianych zagadnień. „Podróż po terenach przyszłych działań wojennych” wysuwa na plan pierwszy cykl wywiadów, które przeprowadza autor z ludźmi o rozmaitych poglądach politycznych. Teren zmienia się szybko. A więc Niemcy hitlerowskie, konkretnie, miasteczko Leuna, Sudety Czeskie, Austria, Alzacja i Lotaryngia, Luxemburg, Szwajcaria — Holzstein, „korytarz polski”. Pisarz spotyka się z tajnymi agentami Hitlera, zamaskowanymi pod etykietą rozmaitych niemieckich i niemieckich „towarzystw”, odwarza nam ich poglądy na zagadnienia polityczne, odsłaniając korzenie faszyzmu. Teodor Balk znakomicie przedstawia sytuację na tych terenach, gdzie nieomal oficjalnie hitlerowskie, sądzicie Führer Henlein, nauczyciel Hitlera — Austriak, Walter Riehl, przyszyły duński Quisling — dr Fritz Clausen, cieszą się swobodą i opieką władz, a on postępowy dziennikarz, traktowany jest jako wróg i „agent obcego mocarstwa”. Co więcej — Balk potrafi pokazać, dlaczego tak się dzieje. Przyczyny takiej sytuacji tkwią w szacherniach międzynarodowego kapitalizmu, w interesach kosmopolitów z Czech, Austrii czy Alzacji, tkwią w mactwach „Czechów” z mydlarskiej firmy „Schicht”, „Austriaków” z dyrekcji Spółki Akcyjnej „Alpinen — Montan”, „Luxemburczków” i „Francuzów” — panów i Wedel z „Comité des Forges” — twórców Monachium i Vichy. Ci panowie zdradzają własne narody, ponieważ związki z Hitlerem i popierającymi go niemieckimi firmami, wydaje się im lepszą, niż ich własne rządy, gwarancją bezpieczeństwa przeciwko własnej klasie robotniczej, wydaje się im doskonałym narzędziem — przeciwko Związkom Radzieckim; a hitlerowska polityka przygotowała do wojny jest dla nich — źródłem zysków. Balk nie ogranicza się w swojej krytyce do ukazania oficjalnych przynajmniej „führerków” poszczególnych

grupowań faszystowskich na zapalnych terenach II-giej wojny światowej. Pokazuje on ludzi, którymi posługują się faszysty. Takie typy bohaterów, jak morderca Byczek, czy cała galeria faszystowskich oficerów, ludzie tępi i brutalni — oto narzędzia kapitalu.

Może zbyt mało miejsca w pierwszej części swoich reportażów, poświęca Balk przeciwdziałaniu takiego stanu rzeczy — siłom postępu i pokroju. Najpełniej reprezentuje je robotnik z fabryki w Rothau, nazwany przez autora Düringiem. Ten człowiek, żyjący w nędzy, odrzuca bez wahania korzystne propozycje sudeckich faszystów. „Jego nazwiska nie przekaze potłomości ani prasa, ani literatura. Długa jest lista męczenników i bohaterów, do których modlą się ludzie i którym wznoszą pomniki na placach i w księżkach — ale niewielu tylko zastanawiało się nad tym, jak ten oto człowiek”. Z postawy takich ludzi, jak ów bezimienny w zasadzie robotnik, czerpie siłę do wytrwania rozmyślający w więzieniu autor.

Wojna zaczęła się dla Balka w Hiszpanii w roku 1936. Walki, długie przemarsze, przerzucane na papier momenty klęsk i zwycięstw. Zmienia się wtedy zasadniczo charakter książki. Balk przestaje być dziennikarzem — jego utwory tracą charakter reportażu. Człowiek staje się żołnierzem — pisarz rejestruje już nie ogólne fakty, więcej lub mniej reprezentatywne nazwiska. Dokonuje się niezwykle ciekawa przemiana reportażu w opowiadanie o charakterze pamiętnikarskim. Talent literacki Balka dorasta w niektórych momentach do siły wyrazu. „Reportażu spod zrubienicy” Fuczika. Żelaznicę się ze śmiercią na polach hiszpańskich, śmiercią nadciągającą wraz z szarżą kawalerii marokańskiej w takt warkotu Junkersów, staje się dla pisarza — intelektualisty momentem autoanalizy. Zastępca Balka stało się, że potrafił dostrzec nie tylko sens życia, lecz umiał rozszyfrować sens śmierci. Śmierci, która wtedy staje się nieczym dla człowieka, gdy walczy o sprawę droższą niż życie. „Widziałem, jak po niebie Hiszpanii krążył jego (Hitlera p. m.) Junkersy i Heinkel i jak na ziemi hiszpańskiej rosły długie rzędy dziecięcych trumienek. Mógł i serce przynęcać mnie tutaj do Hiszpanii, mógł i serce poczułoby mi tak lekko iść śmierci na spotkanie”.

Wśród dalszych wydarzeń i wypowiedzi autora, na czoło wybija się niewątpliwie jego stosunek do sytuacji ZSRR podczas ostatniej wojny. Wyraża on silną wiarę w Kraj Rad i jego zwycięstwo nad faszystem, wiarę, że 22 VI. 1941 — to początek klęski Hitlera.

Sympatia Jugosłowianina Balka nie omija Polaków, z którymi musiał się przecież spotkać na drogach walki o wolność. Wspomina o nas urywkowo, mówiąc o walkach w Hiszpanii — szerzej pisze o Polakach podczas swego pobytu we francuskim obozie dla internowanych cudzoziemców. Nie omieszka także podkreślić szacunku i przyjaźni, jakimi byli otaczani Polacy.

Krytycznie ocenia Balk rzeczywistość amerykańską. Ameryka, w której się znalazł podczas wojny to: „Na przednim planie żelazna krata, na tylnym planie statua wolności — obraz, który jest zamysłowieniem, mągławym skrótem historii tego kraju”. Pisarzowi postępu danym było dożyć końca wojny i doczekać zwycięstwa socjalizmu w wielu krajach. Apoteozie nowej, rodzącej się rzeczywistości poświęca rozdział swej książki p. t. „Spotkanie”. Pisarzowi, jugosłowianinowi, jednak nie było dane urzeczywistnić swym krajem prawdziwej wolności. W trzeciej części swej książki, obejmującej rozdział „Wbrew wszelkim oczekiwaniom”, a będącej politycznym manifestem pisarskim, w którym jest zawarty trzon ideologiczny utworu, napisał te pełne bólu a zarazem nadziei słowa:

„Wbrew wszelkim moim oczekiwaniom, moja ojczyzna stała się znów terenem walk, wśród których giną rękopisy.”

Ale, służący polityce niech wiedzą: mogą konfiskować rękopisy, wstrzącać do więzień i pozbawiać życia naszych dzielnych towarzyszy, lecz nie mogą, nie mogli i nigdy nie będą mogli w żadnym kraju, na żadnym skrawku ziemi zniszczyć idei, które żyją w ludziach i w rękopisach.”

(*) Teodor Balk, „Zaginiony rękopis”, „Czytelnik”, 1951.

Mieczysław Inglot

EDMUND WOJNAROWSKI

„OKUTY W POWICIU”

KRYTYKA kapitalizmu, jakiej dokonują postępowi pisarze w swych syntezach powieściowych, wyrażana była najczęściej przez ukazanie społecznego, gospodarczego, politycznego mechanizmu wyzysku kapitalistycznego, przez odsłonięcie jego istoty, przez zobrazowanie położenia klas wyzyskiwanych. Ale system kapitalistyczny można atakować również posługując się krytyką jego nadbudowy ideologicznej. Na tej płaszczyźnie ideowej polemiki spotykamy się wprawdzie z wielkim zawężeniem problematyki; niemniej jednak metoda ta stanowi poważną broń w walce z wrogią ideologią. Tę drogę obrał wybitny pisarz francuski, André Wurmser, w powieści pt. „Okuty w powiciu” (*), ukazując w niej środowisko drobnomieszczańskie, z którego wyszedł i które staje się przedmiotem jego ironicznej krytyki.

Imię André Wurmsera jest dzisiaj szeroko znane wśród wszystkich ludzi walczących o pokój. Wurmser należy bowiem do grupy wybitnych postępowych pisarzy i krytyków literackich skupiających się wokół Komunistycznej Partii Francji i tworzących nową demokratyczną literaturę francuską, przeciwstawiającą się brutalnej i prymitywnej „amerykanizacji” kultury kraju, który wydał wielkich myślicieli i artystów. Gorący patriota i internacjonalista, Wurmser ma szczególne zasługi na polu popularyzacji wiedzy o Związku Radzieckim wśród szerokich mas Francuzów — przed wojną był aktywistą Towarzystwa Przyjaciół Związku Radzieckiego i przez pewien czas redagował jego organ, zatytułowany „Russie d'Aujourd'hui” („Rosja dzisiejsza”), w czasie okupacji opublikował nielegalnie broszurę „Co należy wiedzieć o Związku Radzieckim”. Wurmser położył również duże zasługi w walce z faszystem — już w okresie międzywojennym demaskował klękę generała de Gaulle’a; brał czynny udział we francuskim ruchu oporu, redagując w okrogu Tuluzji konspiracyjne pismo „Le Patriote” („Patriota”). Dzisiaj Wurmser jest współpracownikiem wszystkich postępowych czasopism literackich Francji; jako krytyk literacki kładzie w swej działalności szczególny nacisk na walkę z wszelkimi próbami, niekiedy dość zamaskowanymi, „amerykanizowania” kultury francuskiej, poddania jej degenerującemu wpływom ideologii amerykańskiego imperializmu.

Ostatnio mieliśmy możliwość podziwiać jego wspaniałą postawę wobec prowokacyjnego procesu sądowego, wywołanego mu przez kilkę między narodowych szpiegów z rzekomo „obrazę cześć”. W procesie tym oskarżonymi, a raczej na pewno oskarżającymi są Renaud de Jouvenal jako autor książki pt. „Międzynarodówka zdradcy” i André Wurmser jako autor przedmowy do tej publikacji.

(*) André Wurmser, „Okuty w powiciu”, „Czytelnik”, 1951. Tutaj oryginalnie: „L'enfant enchaîné, thumacziya Irena Krzywicka.”



Jon Luca Caragiale

Ludowa Republika Rumuńska obchodzi w bieżącym roku setną rocznicę urodzin wielkiego pisarza narodowego, klasika literatury rumuńskiej Jona Luca Caragiale.

Życie i twórczość J. L. Caragiale (1852—1912) przypadły na bogaty historyczny okres dziejów Rumunii, charakteryzujący się nasileniem konfliktów klasowych, konsolidacją burżuazji i obszarnictwa do walki z dojrzałymi politycznie masami ludowymi, z chłopskimi buntami wyzyskiwanej wsi i robotniczymi strajkami. W protestie uciśnionych mas przeciw sojusznym burżuazji i obszarnictwu, w pierwszej linii klasowej walki, obok chłopów i robotników, szły także i inteligencja, wieloletni politycy, którzy walczyli o reformy. Wypowiedzi polityczne Caragiale świadczą, iż widział on „punkt wspólnoty” między walczącym proletariatem a swoją pracą pisarską. W artykule „1 Maja” z 1893 r. pisał: „I jedni i drudzy walczą o nowe, jasniejsze i uczciwsze czasy. Oni wybrali drogę organizacji i walki politycznych, my drogę ironii i kłującego żartu, skierowanego przeciwko tym, którzy rzę-

Proces ten przekształcił się w ponowne demaskowanie oskarżającej klęki szpiegowskiej, a obydwa pisarze oświadczali, że nie odwołują ani jednego ze swych twierdzeń i zawsze będą piętnowali bez litości „zdradcy swojej ojczyzny, zdradcy sprawy pokoju”. Wurmser jeszcze raz czynem zaświadczając swoją gorącą przyjaźnią dla Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, szczególnie kiedy demaskował emigracyjną niedobitkę przedwojennej „klęki pułkownikowskiej”, jeszcze raz udowodnił swoje umiłowanie wielkiej sprawy pokoju. Tę przyjaźnią postępowej ludzkości powinni bliżej poznać czytelnicy polscy.

Omawiana powieść Wurmsera należy (jak obszernie informuje w artykule o literaturze francuskiej M. Czerwinski w 5 nrze „Nowej Kultury”) do rozprawzonego w nowej postępowej literaturze francuskiej gatunku „inteligentnych obrachunków”. Jest to ten etap rozwoju, który przeszła także u swoich początków i nasza młoda literatura. Powieść Wurmsera, jak słusznie zauważa sprawozdawca „Nowej Kultury”, różni się jednak od utworów z tego cy-



Renaud de Jouvenal i André Wurmser pod czas prowokacyjnego procesu w Paryżu. Foto — CAF

ku takich, jak „Dziwna zabawa” Vaillanda czy „Kochankowie z Awinionu” Triolet, wyższą świadomością ideologiczną, bardziej klasowym ujęciem zagadnień biografii „dziecięcia wieku”. Dlatego też utwór Wurmsera może się spotkać z dużym zainteresowaniem wśród naszych czytelników, których pasjonują ciągle jeszcze „porachunki z przeszłością”, a którzy niezawadze w naszej literaturze oryginalnej mogą natrafić na właściwe oświetlenie przemian w świadomości „okutych w powiciu”, z trudem wydobywających się z więzów „narzuconych przez reakcyjne środowisko.”

Wurmser obrał w swojej książce metodę ideową i artystyczną, która ma olbrzymią tradycję w literaturze francuskiej (patrz chociażby „Rodzina Thibaud” Martin Du Garda czy „Kronika rodu Pasquier” Duhamela); przedstawił mianowicie — szczególnie mistrzowsko w prologu zatytułowanym „Nasze zwyczaje i obyczaje” — dzieje rodziny, drobnomieszczańskie rodziny Marcadet, „stawnie w swoim własnym gronie”, historię zamkniętego klanu rodzinnego, zajmującego się sprzedażą konserw groszku „Butterfly”. To studium, napisane z nieoporną ironią w duchu France’a, posiada ze względu na szczegółowość zawartych w nim danych socjologicznych, olbrzymią wartość poznawczą. W zbiorowym portrecie rodziny Marcadet doskonale rozpoznajemy rysy i naszego rodzimego drobnomieszcza. I na tym chyba polega największa wartość tego wstępnego rozdziału powieści Wurmsera, że autor umiał trafnie wychwycić typowe rysy, zwyczaje, powiedzenia, typowy światopogląd drobnomieszczaństwa w czasach imperializmu. Dlatego z prawdziwą satysfakcją czytamy powieść, która

może się przyczynić do walki także i z przejawiającą się u nas tzw. „drobnomieszczańskością”, to znaczy, charakterystycznym dla „drobnych posiadaczy” kompleksem cech ideowych i psychicznych. Jeśli chcemy otrzymać pełny rejestr tych cech, przeczytajcie „Prolog” Wurmsera: Nauczy was on rozpoznawania wroga w najdrobniejszych nawet odruchach. Klasowość ujęcia problematyki przez Wurmsera w „Prologu” przejawia się głównie w tym, że z dużą świadomością portretuje on drobnomieszczaństwo i właśnie drobnomieszczaństwo w całej jego istocie ekono-

micznej i politycznej, a nie jakąś rodzinę o cechach „ogólnoludzkich”, które można wszędzie spotkać i które o niczym nie świadczą. Z drugiej strony jednak Wurmser nasyca swój obraz taką ilością doskonale dobranych drobnych, lecz typowych realiów i szczegółów, że nie można go w żadnym wypadku pościć o konstruowanie „klasowego” schematu, na jego szkieletu oderwanych cech i wyabstrahowanych z czasów obyczajów.

Właściwą problematyką książki stanowi zmuszony proces wydobycia się z „okucia”. Psychiczny trudności tego procesu narrator doskonale charakteryzuje w następujących słowach: „Kępowo mnie więcej drobnych więzów niż Gullivera spletnięgo przez Liliputów i więzy te tak mocno wpłyły mi się w ciało, że nie mogłbym żadnego z nich zerwać, nie raniąc go do krwi”. Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że ów proces wydobycia się Juliana Dubroca z więzów drobnomieszczańskich środowiska w głównej części powieści — poza „Prologiem” — został sprowadzony niemal wyłącznie do problemu wyboru między Liceum Henryka IV, (które umożliwiałoby narratorowi „zostanie poetą”) a Handlowym Instytutem. Przygotowawczym, którego ukończenie zapewniało mu zawód handlarza, tradycyjny w rodzinie Marcadetów, zapewniało mu duże zarobki i „dobre samopoczucie”. Spór o losy Juliana Dubroca, o jego przyszłość „poety” (w powieści jest to symbol odesia od drobnomieszczańskich ciasnoty i zamknięcia w kręgu własnych interesów) czy „handlarza” toczy się także wśród nieporozumień między jego matką a ojcem. Matka reprezentuje w powieści, mimo całego uroku i wdzięku, jakim obdarzył ją autor i narrator, wszystkie ograniczenia rodziny Marcadetów; ojciec, wybitny adwokat paryski, jest tu przedstawicielem innego świata, odrębnego od tego środowiska komwojazerów firmy konserw groszku „Butterfly”. Ale jakiego świata? — tego wyraźnie powieść nie mówi; w tym świecie — co prawda inaczej niż u Marcadetów — mówi się o socjalizmie, zachwycia się wieńską muzyką operetkową, zajądają się wykrytne obiad i kolacje. Ale czytelnik zdaje sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie ma zbyt wielkiej różnicy między rodziną Marcadetów a adwokatem, Teodorem Dubroca, i że konflikt jest jednak pozorny. W obrębie tych dwóch światów nie może się dokonać zasadniczy przełom ideowy w Julianie Dubroca. Powieść jednak — mimo tych wielu niedomówień i przeciwstawień pozornych — z dużą subtelnością i dowcipem przedstawia pierwsze próby wyrznięcia się z środowiska, początkowe procesy rozwoju intelektualnego i uczuciowego dwunastoletniego chłopca. W zakresie analizy skomplikowanych procesów psychicznych, analizy przenikliwej, urzekającej inteligencji i subtelny humorem, trzeba przyznać Wurmserowi duże mistrzostwo. W tej książce wielu czytelników odnajdzie urok i zabawy własnego dzieciństwa, opisy przedwzrostu przygód i marzeń w czterech ścianach pokoju. Oczywiście, jest to analiza dzieciństwa dziecka z klas posiadających i to warunkuje w sposób przejrzysty zawarte w niej realia i obserwacje.

Trzeba załować, że krytyka środowiska drobnomieszczańskie, tak świetnie zarysowana w „Prologu”, nie dostała się potem w takim wymiarze i ujęciu do „akcyjnej” części powieści, stanowiącej właściwy trzon utworu. W tej chwili „Prolog” odgrywa rolę ostrego, „odgórnego” komentarza autorskiego, który pozwala właściwie ocenić dzieje Juliana Dubroca. Jednak nie można nie zaznaczyć, że brak owego czynnego klasowego spojrzenia autorskiego wewnątrz samej powieści, zniekształcił, a raczej zatarł niekiedy jej sens ideowy. Bowiem opis dzieciństwa Juliana składa się często z impresji i doznań dziecięcych — niezbyt jasno tłumaczących ideowy zamiar autorski. Jak już podkreślałem — analiza tych przeżyć stanowi o dużym, nieprzartym uroku powieści (jak np. w rozdziałach „Młodość poety” czy „Młodość poety”), ale też budzi pewien niedosyt ideologiczny.

Julian Dubroca wybiera Handlowy Instytut Przygotowawczy, bierze stronę rodziny Marcadetów. „Nie rozróżniałem w ciemności, po lewej stronie, gdzie są wujami i dziadkami, innych milczących świadków; nie widziałem, choć byli obecni, uwiecznieni na mnie całym ciężarem: wuj Adolf i jego własnych wujów, rodziców moich dziadków, kolegów Karola i Lucjana, różnych komwojazerów, drobnych sklepikarzy, drobnych urzędników, całą odrębną część świata, cały obgoc, ale znany tym kochającym obgocem. Patrzyli na mnie, kiedy wazył życie na ich wadze; narzucał mi swój wybór”. Czy Julian Dubroca kiedyś zrozumie, że wybrał nie rodzinę, a klasę; czy uwolni się z więzów drobnomieszczańskich ograniczeń, zrzuci niewidzialne „okucia”; czy zostanie „poetą” czy „handlarzem”? Jeśli przyjmujemy założenie, że jakaś część osobistego życiorysu Wurmsera znalazła odbicie w dziejach Juliana Dubroca, to możemy odpowiedzieć twierdząco na pytania o los człowieka, który został jednak „poetą”. Ale właściwą, artystycznie udokumentowaną odpowiedź mogą nam dać tylko dalsze części powieści André Wurmsera.

A. W.

Edmund Wojnarowski

Klasyk literatury rumuńskiej

dzę światem. To, co my niszczyliśmy, idzie po linii tego, co niszczyli oni”.

Wysoka ranga społeczna i polityczna i twórczość Caragiale zjednała mu niechęć oficjalnej krytyki, powodowała szkatłowanie jego dramatów przez bardziej znane sceny kraju, a burżuazyjne literaturoznawstwo rumuńskie usiłowało rozbroić celne ostrze politycznych epigramatów, satyr i bajek pisarza, wzmawiając mu pozę pokłóconego ze światem sceptyka.

Różnorodna gatunkowo spuścizna literacka Caragiale obejmuje dramaty pisane w latach 1878—1890, w tym niektóre tak wybitne pod względem artystycznym i uderzające doskonałą znajomością wymagań sceny jak „Burzliwa noc” (1878) czy „Zgubiony list” (1884), felietyony drukowane w periodykach literackich, które stworzyły nieśmiertelną serię błyskotliwych „Momentów”, wreszcie u schyłku życia powstałe opowiadania i bajki zebrane w 1910 r. w tomie „Nowe Szkice”.

Realistyczna i zaangażowana w aktualnych problemach kraju sztuka Caragiale w szerokim przekroju ukazała życie różnych klas społecznych demaskowała istotę sojuszu partii burżuazyjno-obszarńskich, „band politycznych”, jak nazywał je Caragiale, odstała mechanizm monarchicznej machiny państwowej. Wielki ironista kpił i wysmiewał urzędzące przez rząd wybory, oparte na terrorze, przekupstwie i kłamstwie. W artykule „Rok 1907 od wiosny do jesieni” Caragiale uchylił rąbką „patriotycznego” sojuszu burżuazji i obszarńictwa, wymierzonego przeciw potężnemu powstaniu chłopskiemu w Rumunii, z mocą i namietnością protestował przeciw krwawym pacyfikacjom wsi.

Niezawodnym środkiem artystycznym w ideowej walce Caragiale była satyra, komizm, grotesk, wielkiej klasy. Wraz z nasileniem się konfliktów klasowych i wzrastającą drażliwością kapitalizmu polegnęło ostrze ironii pisarza, coraz częściej pojawiały się tony gorzkiego ludowego sarkazmu. Ironiczna muza Caragiale dała narodowi rumuńskiemu wielkie kreacje satyryczne Dardanaków, tłumaczące się w swym wizerunku ideowym z jasnością szcedrowskiego Judaszka Głogolewa. Ciepłe pointy

satyryczne Caragiale obiegaly całą Rumunię, stając się własnością narodową.

W centrum satyrycznego ataku pisarza znalazł się nacjonalizm, szowinizm burżuazji, wzrastający proporcjonalnie do siły imperialistycznych powłok światowych. Dla nacjonalistycznego, towarzyszącego „Zielonych Rumunów” wrogi i nienawistne było „wszystko co nie rumuńskie”, oczywiście, podkreśla Caragiale, „wyjęte od tej reguły stanowią kapitały nierumuńskie”. Z drugiej strony pisarz świetnie pokazał wrogość burżuazji wobec kultury narodowej, kosmopolityczną treść upodobań artystycznych oligarchii. Wielki patriota rumuński Caragiale całą swoją twórczością stanął w obronie narodowej kultury. Język jego utworów bogato czerpie z zasobów leksykalnych mowy ludu rumuńskiego — podstawy narodowego języka, stąd jedność i szlachetna prostota literackiego stylu pisarza. W artystycznych elementach sztuki pisarskiej Caragiale, w typie obrazowania, języku widać głęboką ideową postawę pisarza w stosunku do rzeczywistości, znać wielkiego realiste, który jasno widzi wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy, potrafi dać szum obserwacjom społecznym pełny a różnorodny wyraz artystyczny. Celne pociśki ironii pod adresem rządzącej oligarchii obok głębokich, pełnych wstrząsającej prawdy, epickich obrazów bitych i rabowanych chłopów, tworzą szerokie i właściwe widzenie świata, wskazują na umiejętność realistycznego doboru środków artystycznych dla jego obrazowania.

Pisarstwo Caragiale, szukanowane przez polityczne i kulturalne instytucje burżuazyjnej Rumunii przez długie lata, usiłowało zepchnąć z czołowego miejsca w historii literatury narodowej sam pisarz zmarł na emigracji w Berlinie. Dzisiaj naród rumuński, z pietyzmem sięgający do postępowej spuścizny literackiej, wrócił właściwą rangę twórczości Caragiale. W słutwie urodzin pisarza z ludowych bibliotek i scen teatrów obiega Rumunię jego klarowne słowo i realistyczna prawda o starym świecie, którego był burzycielem.

IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI

Chłopsy racjonalizatorzy

PRZEGLĄDAJĄC w Okręgowej Dyrekcji PGR-ów i w Okręgowym Zarządzie ZSCh w Poznaniu pękate teczek z napisem „Wniośki racjonalizatorskie” być może lepiej niż kiedykolwiek, uświadomiłem sobie przełom, jaki zaszedł w świadomości polskiego chłopca.

Matorolny Michał Marciniuk z Nowej Wsi Wyszynskiej, pow. Chodzież założył sobie poletko doświadczalne z burakami cukrowymi. Kombinował, medytował, zmieniał metodę uprawy i z jednego ha. piaszczystej gleby zebrał 400 kwintali buraków. A rzeczoznawcy z Szamotulskiej Cukrowni oglądający jego — szumnie mówią — plantację, prorokowali zbiór najwyższy 230 kwintali z hektara. Nie na tym koniec; rozpoczął plantację roślin oleistych. I znów na swoich piaskach zebrał 20,8 kwintali maku z ha, podczas, gdy na dobrych glebach 20 kwintali z ha. jest zbiorem wyjątkowym.

Franciszek Dudyński ze Starego Bojanowa, pow. Kościan, to zapalony młocznik, znany w okolicy ze swej bogatej biblioteki fachuwej. W jednej z dwóch posiadanych izb urządził małe laboratorium i rozpoczął badania nad wyhodowaniem nowego gatunku kukurydzy. Początkowo niepowodzenia nie zrażały go i w końcu upór popłacił. Przez skrzyżowanie kukurydzy jugosłowiańskiej z bydgoską uzyskał nowy gatunek o kolorze czerwonym, nadzwyczaj odporny na chłód i suszę, udający się doskonale na terenach piaszczystych. Kolba (bazia) tej kukurydzy ma przeciętnie 600 ziaren, a więc ilość niespotykaną. Dudyński nazwał swój okaz kukurydzą nietęzkowską (od nazwy gminy). Obecnie pracuje nad krzyżówką lubinu.

Chłop, przynajmniej szofer w PGR Przygodzice, pow. Ostrów Wlkp. ob. Zieleniecki skonstruował nowy model kosiarzki łodziowej, różniący się tym od dotychczas używanych, że młot porusza jednocześnie łódź i kosę, podczas, gdy dawniej do poruszania łodzi potrzebnych było dwóch ludzi. Dalej: kosiarzka Zielenieckiego jest wiele obrótniejsza dzięki umieszczeniu na dziobie łodzi noża pionowego, który przecina sznurki leżące poziomo. Poza tym kosiarzka posiada regulator, umożliwiający dowolne ograniczenie tak pod wodą, jak i nad wodą. Największą zaletą jest jednak to, że można ją łatwo skonstruować gospodarskim sposobem (wyłączając silnik oczywiście), co będzie miało duży wpływ na upowszechnienie mechanicznego oczyszczania jezior i stawów.

STEFAN GĘBALA

Czasu „bezkrawawej” rewolucji

KIEDY w lipcu 1944 r. zaczęła się emigracja oddziałów partyzanckich, wtedy już każde dziecko wiedziało, że zza Wisły na wschód idą oddziały AL, a wszystkie inne uciekają za Wisłę.

W lipcu przyszedł i stanął nad Wisłą front i wtedy dała się poznać także „cywilna” połowa tamtej wojennej organizacji. Manifest PKWN-u przyniósł i interpretowali towarzysze z PPR. W styczniu 1945 r. front przeszedł się daleko na Zachód, na mierzwi zaś czekała na dokonanie reformy rolnej — i wtedy zaczęło się. Zaczęła się rzekomo „bezkrawawa” rewolucja. Przyczyną są jasnowidzkie sily, bandy nieustraszonej politycznej, a wrogo nastawianych nęgowców na przemiany społeczne, pojawiły się niespodzianie i zaczęły swe krawawo żniwo.

Ktoś kto kierował nimi miał początkowo bardzo prosty plan, terrorem utrzymać chłopską bierność, „niech się dzieje co chce”, było odciągając od dokonywanej reformy rolnej, odradzać od przemianowania podziału ziemi przy pomocy niezawodnego rzekomo środka: pistoletu... Okazało się jednak, że byli ludzie, którzy nie przeleżeli się strachu zza płota, byli i tacy, którzy umieli to

Czym innym wyróżnił się matorolny Franciszek Niedźwiedź z Popielna, pow. Chodzież. Zajął się propagowaniem produkcji wikliny przemysłowej, wskazując chłopom obustronne korzyści, płynące z takiej produkcji. Sam obsadził 5 ha. wikliny, ale nie, jak to dawniej robiono, bezładu i składu, ale rzędowo, przez co uzyskał większe zbiory i jakościowo wiele przydatniejsze dla celów przemysłowych. Na marginesie: specjalnością ob. Niedźwiedzia jest hodowla bobrów i karpi królewskich; ośrodki hodowlane tego rodzaju założył na dwóch stawach.

Jeszcze wspomnijmy o jednym pomysle, ob. Wasilewskiego z Czachór Traktor ciągnąc siewnik ubijał swymi kołami ziemię, przez co część ziaren nie trafiała na spulchnioną glebę i w rezultacie nie wschodziła. Wasilewski skonstruował wznusząc ziemi, który jest przymocowany do siewnika i ślady kół likwiduje. Wznusząc jest przymocowany w ten sposób, by każdej chwili można go podnieść (przy użyciu łożysk i jeździe na drogach). Ten sam racjonalizator jest autorem wielu innych pomysłów m. in. plótniarki do czyszczenia nasion i brony ławnicowej do bronowania redlin ziemniaczanych.

Podane przykłady nie są jakimś sporadycznymi wysiłkami. Chłopi — racjonalizatorzy łączą się w kółka, nad niejednymi pomysłami zastanawiają się zespołowo, dyskutują. Aktywnością wyróżniają się kółka racjonalizatorów w zespole PGR Przygodzice, pow. Ostrów Wlkp., w Gościńskich, pow. Rawicz, w Petrykach, pow. Kalisz, w zespole PGR Gola, pow. Gostyń. Na terenie województwa, w Kórniku, mamy ośrodek wymiany doświadczeń chłopów z naukowcami, gdzie chłopcy zdobywają teoretyczne podstawy dla swej pracy a naukowcy korzystają z terenowych doświadczeń chłopów. Między racjonalizatorami znajdziemy młodzież, kobiety (np. Helena Kowalczyk z Czachór — model uproszczonego gniazda zatraskowego dla drobitki do noszenia jaj).

Poza wysiłkami zmierzającymi do uzyskania maksymalnej wydajności gleby i wyhodowania nowych, korzystniejszych odmian roślin uprawnych, prace racjonalizatorów idą w kierunku uzyskania maksymalnej wydajności maszyn przy jednoczesnej maksymalnej oszczędności sił ludzkich. Wielką rolę odegra wprowadzenie metody inż. Kowalowa w rolnictwie; badania naukowe w tej dziedzinie prowadzi już Główny Instytut Pracy.

Ireneusz Gwidon Kamiński



Foto—CAF

CZESŁAW SCHABOWSKI

CUD DOMNIEMANY

ZNAJOMY mój, młody aktor opowiedział mi takie zdarzenie:

— Jechałem z Brąszewic do Czarnocin — z dożynek na dożynki. Pierwszy raz w życiu recytowałem wiersze wobec blisko 2.000 chłopów. W Brąszewicach mówili chłopcy, że okoliczne kulaciwo zorganizowało trick z „cudami” i w Czarnocinach może być mała frekwencja...

Było niedzielne, sierpniowe popołudnie.

Przemknęliśmy przez miasteczko Złoczów. Na jego drugim jednak krańcu zatrzymał nas niezwykły widok.

Przydrożny krzyż otoczyło kilka bab o fanatycznym wyglądzie; za ogrodzeniem jakieś podbite chłopisko; bliżej drogi — gromadka rozprawiających mężczyzn; na drodze jeszcze jedna grupka kobiet i mężczyzn; dzieci też było немало; od strony miasta nadchodzili nowi ludzie, przystawali, słuchali i wruszkając ramionami znów odchodzili. Podeszedłem z szoferem.

— Co się stało?
— Obrazek się odświeżył!
— Jakto odświeżył?
— Ożloci!
— Sam? Bez niczyjej pomocy?
— Sam! Wczoraj w nocy.
Zza ogrodzenia, poza którym znajdował się krzyż, krzyknął w tej chwili ów podejrzany pijak:
— Na kolana przed cudem!
Aha! — myślał sobie — to jest chyba sufler, może nawet sam impresario tego „przedstawienia”. Trzeba być ostrożnym... A mój szofer podnosi rękę, jak milicjant, kiedy zatrzymuje auto i mówi:
— Wolnego, obywatelu! Jak to: my na kolana, a wy na stojąka?

Konsternacja ogólna. Wszyscy dołączyli, nawet ci okrzykający krzyż. Ale „sufler” z jeszcze większym tupetem wrzasnął:

— Nałeczęm się dość! Cóż! No!

Jak tylko przy obrazku — zajął się, przysiadł, ukleknął i modlił się tyłu godzin! BIL SIE W PIERŚ!

— Panie obywatelu! — poważnie mój kierowca. — Czyż pan nie pijany? Niki z was nie bije się w pierś, a za coż my mamy się bić?

— Za to, żeście antychrysty... Szofer rozejrział się teraz po tłumie. Widać zorientował się, że organizatorzy „cudu” mają w planie prowokację. Wpadł imi jak mucha w sieć pajęcza. Co teraz powie szofer? Da się ponieść oburzeniu? Nie dał się. Teraz on zaskoczył „suflera” i zgromadzonych ludzi.

— To musi i jakiś ślepiec u was przejechał, co? Bo przy cudzie chorzy odzyskują nagle zdrowie...

— Akurat! Mają ludzie darmowy ośrodek zdrowia, to się będą kurować na obrazek — krzyknął ktoś z nowoprzybyłych.

— Zamknijcie pyski! — wrzasnął „sufler”.

Kierowca korzystając z tego, że ludzie zaczęli spozierać po sobie i trącać się wzajemnie, rzekł mi do ucha:

— Niech im pan coś zarecytuje... Publikę, jak znalazł. Ze świecą szukać ja wiem...

Stuknąłem palcem w czoło, dając na migi do zrozumienia, że ma w głowie niedobre.

— Jedziemy — zdecydowałem.

Wypuszczono nas; pojechaliśmy.

Po drodze zatrzymaliśmy się kilkakrotnie, chcieliśmy się bowiem od ludzi dowiedzieć szczegółów. Z informacji złożył się taki obraz.

Krzyż znajduje się na polu znane go tutaj kulak: bogacz ów za sanacji żył z lichwy, za okupacji z wysługiwania się hitlerowcom, po wyzwoleniu miał bandę i tylko dzięki amnestii uniknął kary. Obecnie odbywają się u niego bardzo często piątkowe zebrania miejscowych bogaczy i na jednym z nich na pewno obmówiono ów trick z „cudem”, aby rozbić okoliczne manifestacje dożynkowe.

Kilkanaście ogłupiałych bab, paru starców i trochę kulackich zauszników, kilkanaścioro ciekawskich dzieci, operetkowa groza i śmieśność — oto rezultat zabiegów naśladowców Lublina.

— Ja bym zaryzykował — wrócił do swojego projektu szofer — powinien pan dać porządnego kontra tym pijaniom kulakom... Gdyby pan zaczął... na przykład... ze Słowackiego; pamiętam kawałek: „Wtem Bóg z Mojżeszem wychylił się krzaka, spojrzal na te krzyżące i zapytał — „Jaka?”

Zdumiałem się... choć właściwie dlaczego? Szofer jeździ na zebrania i wie, na odczyty, na występy piosarzy. Słucha i pewnie czyta.

Kiedys taki — myślę, — to czekał, już ja ci pokażę, jak się recytuje Słowackiego!

— Zawracamy pod krzyż!
— Taki artysta to mnie się podobal! Z żadnego odcinka walki nie rezygnował! Żadnej okazji nie przepuścił! A ma pan chociaż w zapasie

coś, co można... i pod figurą recytować?

— Jaki byłby ze mnie artysta... Zawrócił się...

Pierwszy oczywiście dostrzegł nas „sufler”, ów chłop pijany pod krzyżem. Zaraz też wykrzyknął!

— Wróćcie antychrysty!... Otoczył ich kołem!

Rzeczywiście, ludzie hurmem otoczyli nasz wóz. Sufler pozostał w ogródce pod krzyżem sam. Ale się przełiznął. Nasz bowiem powrót zaciekał zgromadzonych. Oczekiwali czegoś nowego, dalszego ciągu tego, co przez samo wystawienie nie chciało się posunąć.

Mój kierowca donośnym głosem oznajmił:

— Obecnie pan Chojnacki, artysta teatru łódzkiego recytuje...

Jakże silnie odczułem ową magnetyczną siłę, jaką nam udziela wpatrzona w nas, aktorów, publiczność. Zaczęłam mówić:

Biada wam, gdy się budzi duch i obudzony

Stoi świeżą krwią nową żywota czerwoną,

Gdy okiem błyskawicy na wsze strony błyska

I świat do nowych, wielkich lotów powołuje.

Wyście wynieśli dawne królów prochy

Z kośćcami w trumnach; zamiast krzyżać: Polska żywa,

Wyście krzyżacie: Niechaj żyje... z cudzej pracy,

A tył wam szpikowali okiem Pracy.

Umilkłem. Milczenie panowało powszechnie. Nawet „sufler” tak zgłupiał, że otworzyłszy usta przebieżał tylko palcami. Zastanawiał się być może w

— Co się stało?

— Obrazek się odświeżył!

— Jakto odświeżył?

— Ożloci!

— Sam? Bez niczyjej pomocy?

— Sam! Wczoraj w nocy.

Zza ogrodzenia, poza którym znajdował się krzyż, krzyknął w tej chwili ów podejrzany pijak:

— Na kolana przed cudem!

Aha! — myślał sobie — to jest chyba sufler, może nawet sam impresario tego „przedstawienia”. Trzeba być ostrożnym... A mój szofer podnosi rękę, jak milicjant, kiedy zatrzymuje auto i mówi:

— Wolnego, obywatelu! Jak to: my na kolana, a wy na stojąka?

Konsternacja ogólna. Wszyscy dołączyli, nawet ci okrzykający krzyż. Ale „sufler” z jeszcze większym tupetem wrzasnął:

— Nałeczęm się dość! Cóż! No!

Jak tylko przy obrazku — zajął się, przysiadł, ukleknął i modlił się tyłu godzin! BIL SIE W PIERŚ!

— Panie obywatelu! — poważnie mój kierowca. — Czyż pan nie pijany? Niki z was nie bije się w pierś, a za coż my mamy się bić?

— Za to, żeście antychrysty... Szofer rozejrział się teraz po tłumie. Widać zorientował się, że organizatorzy „cudu” mają w planie prowokację. Wpadł imi jak mucha w sieć pajęcza. Co teraz powie szofer? Da się ponieść oburzeniu? Nie dał się. Teraz on zaskoczył „suflera” i zgromadzonych ludzi.

— To musi i jakiś ślepiec u was przejechał, co? Bo przy cudzie chorzy odzyskują nagle zdrowie...

— Akurat! Mają ludzie darmowy ośrodek zdrowia, to się będą kurować na obrazek — krzyknął ktoś z nowoprzybyłych.

— Zamknijcie pyski! — wrzasnął „sufler”.

Kierowca korzystając z tego, że ludzie zaczęli spozierać po sobie i trącać się wzajemnie, rzekł mi do ucha:

— Niech im pan coś zarecytuje... Publikę, jak znalazł. Ze świecą szukać ja wiem...

Stuknąłem palcem w czoło, dając na migi do zrozumienia, że ma w głowie niedobre.

— Jedziemy — zdecydowałem.

Wypuszczono nas; pojechaliśmy.

Po drodze zatrzymaliśmy się kilkakrotnie, chcieliśmy się bowiem od ludzi dowiedzieć szczegółów. Z informacji złożył się taki obraz.

Krzyż znajduje się na polu znane go tutaj kulak: bogacz ów za sanacji żył z lichwy, za okupacji z wysługiwania się hitlerowcom, po wyzwoleniu miał bandę i tylko dzięki amnestii uniknął kary. Obecnie odbywają się u niego bardzo często piątkowe zebrania miejscowych bogaczy i na jednym z nich na pewno obmówiono ów trick z „cudem”, aby rozbić okoliczne manifestacje dożynkowe.

Kilkanaście ogłupiałych bab, paru starców i trochę kulackich zauszników, kilkanaścioro ciekawskich dzieci, operetkowa groza i śmieśność — oto rezultat zabiegów naśladowców Lublina.

— Ja bym zaryzykował — wrócił do swojego projektu szofer — powinien pan dać porządnego kontra tym pijaniom kulakom... Gdyby pan zaczął... na przykład... ze Słowackiego; pamiętam kawałek: „Wtem Bóg z Mojżeszem wychylił się krzaka, spojrzal na te krzyżące i zapytał — „Jaka?”

Zdumiałem się... choć właściwie dlaczego? Szofer jeździ na zebrania i wie, na odczyty, na występy piosarzy. Słucha i pewnie czyta.

Kiedys taki — myślę, — to czekał, już ja ci pokażę, jak się recytuje Słowackiego!

— Zawracamy pod krzyż!
— Taki artysta to mnie się podobal! Z żadnego odcinka walki nie rezygnował! Żadnej okazji nie przepuścił! A ma pan chociaż w zapasie

Z prasy radzieckiej

Krytyka radziecka o aktualności Wiktora Hugo

DRUGI Światowy Kongres Obródców Pokoju w 9-tym punkcie oświadczenia do ONZ wskazał na to, że umacnianie kulturalnej więzi między narodami stanowi jeden z podstawowych warunków dobrosąsiedzkich stosunków, wytwarzając atmosferę wzajemnego zrozumienia i przyspieszając wymianę najlepszych osiągnięć myśli ludzkiej. Zgodnie z tym apelem, przy Światowej Radzie Pokoju została utworzona specjalna komisja międzynarodowa, zajmująca się sprawami kulturalnej łączności narodów. Komisja postawiła sobie za cel stworzenie podobnych instancji w poszczególnych krajach i ułożenie programu, który zainteresuje żywo wszystkie narody, a w swojej realizacji praktycznej, skupi pracowników kultury z całego świata. Światowa Rada Pokoju poleciła komisji zwrócić szczególną uwagę na obchody rocznic wielkich twórców narodowych, na ten kulturalny dorobek przeszłości, który decydował w walce o postęp i szczęście ludzkości. M. in. na wniosek Chin Ludowych postanowiono święcić w szeregu krajów 150 rocznicę urodzin wielkiego pisarza francuskiego Wiktora Hugo, na wniosek I. Erenburga zdecydowano obchodzić w szali światowej 500-lecie urodzin wybitnego malarza Leonardo da Vinci, na wniosek delegacji włoskiej uchwalono uczcić szeroko 100-lecie śmierci znakomitego pisarza Mikolaja Gogola.

26 lutego br. upływa 150 lat od chwili, w której przyszedł na świat wielki pisarz francuski epoki romantyzmu, Wiktor Hugo.

Nieprzemijające wartości walki Hugo o postęp, siłę jego politycznego demaskatorstwa, obrońcy przeciw reakcji, żarliwego orędownictwa w sprawie niedoli mas pracujących, wielokrotne apele w imię pokoju — przypominają właśnie krytyka i prasa radziecka.

M. Czerniewicz w 2 numerze miesięcznika „Oktabr” pisze: „Autor najpopularniejszych powieści społecznych, którymi zaczytywał się cały świat, plomienisty polityk i poeta — trybun, dramaturg — nowator Wiktor Hugo całą swą twórczością utwierdzał aktywną rolę sztuki w walce z reakcją. Był wrogiem sztuki „czystej”, żywił przekonanie, że literatura musi przynosić ludziom pożytek. Bojowa, pełna sztuka Hugo cała oddana była w służbę narodu i broniła jego świętych praw. Pieca niedoli ludu, Hugo był optymistą, podobnie jak sam lud. W ludzi odnajdywał autor „Nędzników” piękno, siłę, bohaterstwo, zdrowie i radość życia. Lud stanowił dla niego źródło afirmacji życia, patosu, niewyczerpanej wiary w triumf sprawiedliwości społecznej w przyszłości. Hugo nigdy nie zamykał się w kręgu wąskiej działalności literackiej. Żył długie lata i był świadkiem ogromnych historycznych wydarzeń, rozgrywających się we Francji. Obserwował, jak ludowa Francja bohatersko walczyła o wolność na barykadach 1830 i 1848 roku”.

Alle Hugo nie był niemym obserwatorem, nieczłuyim widzem wielkich historycznych wydarzeń. Walce ludu dopomagał piórem, jego serce wibrowało saltem barykad, a w chwili klęski — jego słowo wzywało do bohaterskiego wytrwania, brzmiało jak manifest rewolucyjnej nadziei.

Hugo jest sympatykiem rewolucji lipcowej 1830 roku, głosi hasła walki z tyranją, „Wschodnie moływy”, „Ostatni dzień skażona”, wielki dramat romantyczny „Hernani” przepojone są szczerą sympatią dla ówczesnych ruchów wywoleńczych. Na wypadki lipcowe reaguje Hugo od pt. „Do młodej Francji” oraz „Hymnem na cześć ofiar lipcowych dni”. W 1831 r. znakomity pisarz ogłasza głośną powieść „Dzwonnik z Notre Dame”, w której literatura francuska po raz pierwszy otrzymuje tak bogaty, jaskrawy i sugestywny obraz życia dołów społecznych. W 1832 r. Hugo pisze antymonarchistyczną, wkrótce też zabronioną sztukę „Król się bawi”. W okresie Wiosny Ludów Hugo zajmuje pozycję republikanina. Po zwycięstwie reakcji uchodzi na emigrację. W 1852 r. Napoleon III ogłasza dekret, skazujący na banicję Hugo oraz kilkudziesięciu delegatów Zgromadzenia Narodowego. Na wygnaniu powstały wielkie powieści Hugo: „Nędznicy”, „Pracownicy morza” oraz „Chłwiek śmiechu”.

Po upadku Napoleona III wielki pisarz wraca do Paryża, solidaryzuje się z ludem w okresie Komun, a po jej upadku piórem broni komunistów przed bestialstwem Wersalczyków. Wielkie przeżycia tego okresu przekazuje w poetyckim dzienniku z lat 1870 — 1871 pt. „Groźny rok”. W roku 1874 wydaje powieść „Rok 1793”, w której odnajdujemy aluzję do niedawnej walki wyzwolenczej ludu, aczkolwiek zostały one umiejscowione w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Dla potomnych, dla późniejszej walki wyzwolenczej narodu francuskiego Hugo stał się szandarowym piewem wolności, orędownikiem ludzi prostych. Aczkolwiek obraz mas pracujących w jego powieściach nie zawsze odznacza się ujęciem klasowym, to jednak posiada ogromną dodatnią wymowę historyczną, ogromne znaczenie w walce postępu z reakcją. Hugo potrafił ukazać żywych bohaterów proletariatu, ich moralną siłę, ich wiarę w nadejście sprawiedliwości społecznej, ich walkę z nieprawością panującego ustroju.

Protest społeczny Hugo, dążenie do wolności ludu i sprawiedliwości społecznej, potrafiły pobudzić przyszłe pokolenia do walki, zapożyczyć nadzieję zwycięstwa, siłę wytrwania w czasach najgroźniejszej reakcji. Klasa robotnicza Francji czci w postaci wielkiego pisarza jednego ze swych poetów. Przywódca Komunistycznej Partii Francji M. Thorez wyznaje w swej autobiografii, że z zachwytem czytał „Pracowników morza” i wiele się z nich nauczył. E. Jewina w pracy pt. „Literatura francuskiego ruchu oporu” stwierdza, że w okresie zmagania z najeźdźcą hitlerowskim twórczość Hugo stanowiła natchnienie i standard walki. Patriotyczna i wolnościowa poezja Hugo wielokrotnie publikowana była w nielegalnie wydchodzącej „Humanité”. Robotnicy patrioci przypominali plomienne strofy Hugo, wzywające Francję do walki z Prusakami w obronie niepodległości narodu. W twórczości poety ludu paryskiego szukali natchnienia pisarze komunistów. Jean Lafitte zatytułował swą książkę poświęconą walce z hitleryzmem słowami Wiktora Hugo: „Życie to walka”. W ten sposób nowa generacja bojowników nawiązała do walki wyzwolenczej przeszłości. Krytyka radziecka, powołując się na wystąpienie Hugo, podkreśla żywe i wielkie tradycje narodu francuskiego w walce o niepodległość i sprawiedliwość społeczną.

Walka o sprawiedliwość społeczną toczy się we Francji dalej. Krytyka i prasa radziecka wskazują na olbrzymią aktualność twórczości Hugo dzisiaj; na te cechy działalności i twórczości wielkiego romantyka i bojownika ludu, które zachowały swoją mobilizującą siłę. „Dzisiaj — pisze M. Treskunow w postulu do radzieckiego wydania dzieł Hugo — ze szczególną siłą rozbrzmiewają apele Hugo w obronie pokoju i demokracji, gwałtowne słowa piętnujące kapitalizm, który dla utrzymania swego panowania zdążył nieustannie do wojen i skazuje przez to narody na niezliczone ciężary i cierpienia”.

W 1849 r. odbywał się w Paryżu Kongres Pokoju, na którym Hugo wystąpił z gorącym przemówieniem. Powiedział wtedy, że dzieło pokoju stanowi cel, do którego ludność dąży w sposób nieunikniony. Wielki pisarz wyraził przekonanie, że nadejdą czasy, kiedy „wszystkie narody będą związane wielkimi ideałami, zamienią swoje wzajemne wojny na współpracę”. Hugo potrafił rzucić w twarz reakcji słowa oskarżenia i protestu, które do dziś nie utraciły swej siły: „Redukujcie, jak chcecie, listę wyborców, wykreślajcie całe miliony naszych obywateli, pozabawiajcie Francuzów praw do politycznej równości! Nigdy nie wykorzystacie tej antypatii, jaką wzbudacie w narodzie. Nigdy nie wykreślicie z pamięci ludzkiej tych fatalnych błędów, w jakie obijają wasze rządy. Nie jesteście w stanie zatrzymać historii, nie cofniecie tej godziny, która już wybiła, nie zatrzymacie ruchu ziemi i nie powstrzymacie wzrostu idei demokratycznych”.

Na wygnaniu Hugo chwylał się pióro publicysty. Jego plomienne wystąpienia w obronie walki wyzwolenczej Włoch, Grecji, Chin do dziś pulsują żywą krwią, oskarżając kapitalizm, zapowiadając wolność narodów. „Niech rosyjski chłop — pisze Hugo — niech egipski fellach, niech proletariusz, niech hinduski parias, niech skazany na niewolnictwo murzyn, niech uciskany biały człowiek natchnie się nadzieją”.

Wybuch Komun Paryskiej Hugo powitał entuzjastycznie. Pisał wtedy: „Prawo Komun — prawo Paryża zwycięży wcześniej niż później”. W 1877 r. Hugo występuje wśród tłokich tłaczek. Mówi wtedy: „O czym marzą królowie? O wojnie. O czym marzą narody? O pokoju. Narody żyją wobec siebie uczucia miłości i łączą się”. Hugo nawołuje, aby we wspólnej obronie pokoju zniszczyć groźbę wojny. „W obecnej chwili — oświadcza — szukajcie starcie między wojną, do której dąży przeszłość, a pokojem, którego pragnie teraźniejszość... Obywatelu, pokój zwycięży”.

Pokój zwycięży — ten orzekł powtarza dziś ogromna większość narodu francuskiego. Louis. Aragon w artykule pt. „Hugo, przyszłość, pokój” słusznie utrzymuje, że wielki twórca „Nędzników” należy dziś do narodu francuskiego, do klasy robotniczej, nie do burżuazji, która sprzedawała kraj imperialistom amerykańskim.

W Paryżu stał pomnik Hugo. Został on zburzony przez hitlerowców, Minęło 7 lat, ale pomnik nie został odbudowany. Dla rządów zmarszalizowanej Francji ta sprawa jest obojętna Na cokole stoi reklama amerykańskiego „Ford’a”. Ale Hugo posiada pomnik w sercach francuskiego ludu — pomnik wielki, trwały, nie do obalenia. Podkreślając aktualne znaczenie twórczości Wiktora Hugo dla obecnej walki narodu francuskiego o pokój, krytyka radziecka trafnie podkreśla: „Europa, o której marzył Hugo, nie ma nic wspólnego z Europą Paul Renau, Mocha, de Gaulle’a, z Europą Adenauera, Churchill’a i Eisenhowera. Ale podczas, gdy marzenia Hugo były marzeniami utopistycznymi, to nasza pewność, że pokój zwycięży, oparta została na realnych przesłankach, na wspólnych wysiłkach narodów, które powinny i mogą okiełzać podżegaczą wojennych”.

Grzegorz Timofiejew,

JAN JELONEK

Wielka karta ludowładztwa

Gdy czytam art. 38 i następne projektu Konstytucji, które mówią o Radach Narodowych myślę o własnej gminie, o Porabce, o tym, ile to spraw, niezrealizowanych przez lata całe przez przedwojenną administrację, załatwiliśmy już zgodnie z potrzebami mieszkańców.

I tak, od 1920 roku gromada Porabka czyniła starania o podział gminy, o Porabce, o tym, ile to spraw, niezrealizowanych przez lata całe przez przedwojenną administrację, załatwiliśmy już zgodnie z potrzebami mieszkańców.

Przez piętnaście lat przedwojennych gromada Porabka — czyniła starania o doprowadzenie wody z rurociągu Maczkowskiego, biegnącego przez tereny gromady. Niestety założenie wodociągu do Porabki nie opłaciło się ówczesnej dyrekcji i akcjonariuszom. Dopiero dzięki opiece i trosce Gminnej i Powiatowej Rady Narodowej gromada Porabka w gminie Kazimierz od 1949 roku systematycznie powiększa sieć wodociągową ku ogólnemu zadowoleniu i zdrowiu mieszkańców.

I znów, od blisko 30 lat zmora porabskiego rolnika był fakt obniżania mu terynu łakowego i zatapiań całej

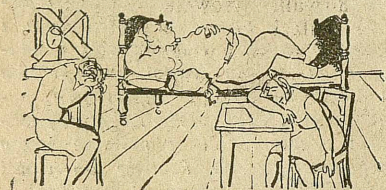
przezierni łak i pewnej części pastwisk. Gospodarczo gromada podupadała coraz bardziej i doszłaby do zupełnej ruiny, gdyby nie fakt, że w Polsce Ludowej kopalnie węgla zostały upaństwowione. Prywatni kapitaliści ani słyszeć nie chcieli o odwadnianiu

Gazetka gminna

Gminna i gromadzka sypialnia

Snieg śniegiem a do siewów wiosennych czas już się szykować. Wzrost na ten przykład nawozy sztuczne. Jak nie dopilnujecie, to wam się tak wydarzy jak naszej gminie w ubiegłej jesieni.

Po Uchwale Rządu o obowiązku zwiększania wydajności z ha ruszyli się chłopcy za nawozem. Kredytowe nawozy były ale wolnorynkowych naszego spółdzielstwa do 15 września nie miała i po 15-tym też nie miała. Toś-



my już na pewno wiedzieli, że trzeba szukać nawozów w innych GS-ach. I jeździli do Kuczborka, Niechłoni, Sreńska, oddalonych o 20 km, a nawet do Działdowa i Lidzbarku, dokąd jest 30 km. drogi.

I co powiecie? Przed końcem września nadeszły dwa wagony superfosfatu do naszej GS. Ale mało kto skorzystał, bo żeby nie zawieść Rządu jużmy byli po tych pielgrzymkach do Kuczborka, Działdowa i Lidzbarku. I co powiecie? Na początku października znów nadszedł nowy transport superfosfatu. W sam raz, kiedy na polach z zasianego zboża ozimego wypatrywaliśmy już kielków.

Powiecie, a to niedbalstwo zarządu GS-ów! Mówcie, będziecie mieli połowę

racji. Bo gdzie była kontrola naszych społecznych organizacji? Dlaczego chłopci, słusznie nie ufając naszemu GS-owi, popadli w panikę i dawaj w te pielgrzymki za nawozem? Dlaczego? Chcecie wiedzieć? To wam powiem. Na ten przykład w gromadzie Dobropolu jest koło ZSCH. Prezesem wybrany został Franciszek Zurek. Od roku ten prezes nie zwołał ani jednego zebrania. Spytaście go kto wchodzi w skład zarządu — nie wie, ile członków ma koło — nie wie, kto jest w komisji rewizyjnej — nie wie. Spi sobie jak susel. Spróbujcie go obudzić przez sekretarza gminnego ZSCH. Nie uda wam się. Sekretarzem jest jego córka, Janina. Prezes otrzymuje gazetę Związkową i inne pisma instrukcyjne, które powinny znaleźć się w rękach członków koła. Ale pan prezes nie upowszechnia pracy związkowej, sam przejrzy to i owo poczem uciera nią tylek. To samo jego córka. Otrzymuje wszak różne broszury o hodowli, budowie silosów, po i przed plonach, a nie z tego nie daje na Kola.

Najlepiej byłoby zbuntować baby na takiego sekretarza gminnego w spółnicy, ale znów nie ma sposobu, bo prezesem gromadzkiego Koła Kobiety jest druga córka naszego Zureka, Zofia i koło spi.

Jaki z mojej gawędy wynika morał? Ze choć śnieg na polach, czas już gotować się do siewu wiosennego. A tak szeroko i gruntownie, żeby oczyścić każdą gminę pod siew od Zurek i innych przesuszających kadłubów.

Jan Łuka

Sprawa rodzinna

W Kłokowicach, gm. Frydrypol żyje sobie starowinka, matka soltysa, nazwiskiem Baran Maria. Jest tam też szwagier soltysa, Makar, który znowu ma za szwagra, niejakięgo Kurchona.

Do tego Kurchona przyszła starowinka. — Zawięcie moje zboże na planowy skup. A było tego 620 kg. Zawiózł i basta. Aż tu pod koniec października napomnienie przychodzi do staruszki Biegnie nieboga do zarządu naszego Koła ZSL-u i w plac — oddalam przecie, najpierwsza prawie, pomóżcie!

Zwołaliśmy zebranie gromadzkie. Prezes Wojciechowski pyta — Jak tam u was Kurchon, odsta- wiliście zboże?

— A jakże, z nadwyżką. — Porządną z was chłop, no to dajcie dla porządku kwity Marii Baran.

— Baranowej kwity?... a to Makara sprawa.

— Od Kafajsha do Annasza... Makar, co się chowasz, dawaj kwity.

— Mnie się pytaicie? gadajcie ze soltysiem

— A pan soltys, co powie?

— To nasze rodzinna sprawa, nie ma o czym gadać.

— Słuchajcie ludzie — powiada wówczas prezes Wojciechowski — pan soltys mówi, że to rodzinna sprawa. Pan soltys prawdę mówi. Nie wierzyście?

Wszedł się tumult.

— Wobec tego muszę wam do- wieść, jak prawdziwie rzecz ujął pan soltys.

— Widzicie, że prezes Wojciechowski mnie popiera, to na tym można już punkt zakończyć i przejść do następnego, o co jako soltys wnoszę.

— Kiedy jeszcze was nie poparł, boście mu przerwali — zawałam na cały głos.

— No to niech popiera tylko wedle tego, co rzekłem, rodzinna sprawa i tyle.

— A jakże, panie soltysie — znów zebrał głos prezes Wojciechowski. Wasza matka, staruszka, prosiła waszego szwagra, Kurchona, aby odwoził zboże na skup z jej gospodar- ki i Kurchon odwoził, razem z dru- gim szwagrem, Makarem, prawdą? Sprawa — jak widzicie w rodzinie. Odwieźli i wzięli kwity. A w kwitach wyszło na to, że Kurchon zdał z nad- wyżką, a Makar akurat, ile mu wy- padało. Po kwitach, zaś, Baranowej nie zostało ani śladu, rozumie się, ani śladu... w rodzinie. Bardzo mu- siało zdziwić i zaniepokoić Barano- wą, kto to tak zmałostował... w ro- dzinie. Szwagier Kurchon, szwagier Makar? I nie bał się jej syna, soltysa? Ale zapomniała stara Barano- wa, że jej syn też należy do rodzi- ny. — Ty, Kurchon odwoż, razem z nad- wyżką ze zboża babki, ty Makar, wy- równaj z babki zboża swój plan, a jak będą starą prześciskać upomnie- niami, powiem — starowinka, rady dać sobie nie może, oszczędzajcie jej, syn — soltysiem, rodzina wywią- zała się, jak należy, czegoż chcecie od babuszek?

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

Ludwik Mazurek

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

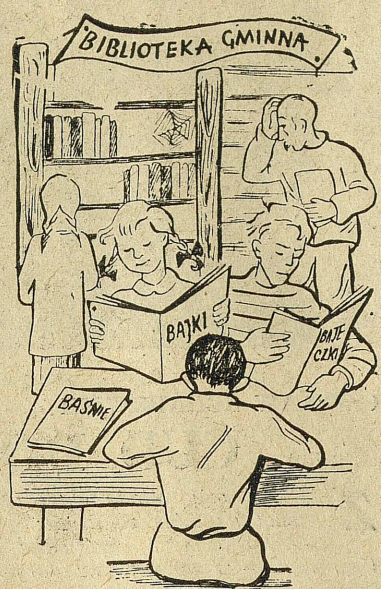
— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

— No to wam już wyjaśnił prezes Wojciechowski, że w rzeczy samej rodzinna sprawa, więc jako soltys wyznam absolutnie do następnego punktu porządku dziennego.

— Oczywiście, panie soltysie — o- dezwalem się siostrzyczko. W następ- nym punkcie mamy sprawę ukarania zalegających ze skupem i oszukują- cych w skupie.

WIESŁAW JAŻDYŃSKI

KTO I CO CZYTA?



Rys. H. Jarczy

W ostatnich tygodniach napłynęło do Redakcji kilkadziesiąt korespondencji o pracy bibliotek wiejskich. Jest w tym fakcie wiele

radosnego, bo w całokształcie problemów, poruszanych przez terenowych korespondentów, sprawy kultury nie zajmowały dotąd, niestety, poczesnego miejsca. Pisano do nas z terenu, doty- kając głównie zagadnień produkcyj- nych, pokazywano bogate przejawy walki klasowej, atakowano ostry nadu- życia, odstępstwa od zasad ludowej praworządności, kilka tomów można by złożyć z korespondencji, ilustrujących walkę o socjalistyczny handel na wsi.

Czyżby więc kilkadziesiąt wspom- nianych korespondencji, poświęconych głównie sprawie bibliotek i czytelnictwa, oznaczało korzystną zmianę, czy moż- na spokojnie sądzić, że rosnącemu na wsi czytelnictwu towarzyszyć będzie czujność i opieka terenowego pisarza? W świetle otrzymanego materiału wy- pada odpowiedzieć — i tak i nie.

Poszczególne korespondencje wykazu- ją wiele troski o zagęszczenie sieci bi- bliotek. Karendal Zdźmiał dopomina się o zorganizowanie gromadzkich punktów bibliotecznych w gminie Nierzków, pow. Miechów. Z jednej gminnej biblioteki korzystają tylko naj- bliżej położone wsie, dla dalszych, oddległych nieraz o kilkanaście kilo- metrów, książka jest praktycznie nie- dostępna.

Inni zwracają uwagę na szereg nie- rozwiązywalnych jeszcze trudności orga- nizacyjno-technicznych i kadrowych w

pracy bibliotek. Oto w Ruskich Pia- skach (gm. Zawodzie) ludzie przeczy- tali już wszystkie książki, a nowych brak. Oto w Wągrowicy pod Jarosła- wem bibliotekarzem jest kilkunasto- letni chłopiec „w piasku jeszcze się ba- wi, a nie kultura mu w głowie”. Oto w gromadzie Kadłub, gm. Błotnica, pow. Radom, GRN nie znalazła odpo- wiedniego lokalu na pomieszczenie książek, z tego powodu czytelnictwo kuleje. Gdzie indziej znowu bibliote- karz nie przestrzega godzin wypoży- czania książek, wskutek czego czytel- nicy zastają najczęściej zamknięte drzwi.

Są to oczywiście sprawy ważne i dobry to znak, że korespondenci strzegą pilnie formalno-organizacyjnej strony naszych bibliotek wiejskich. Ale równocześnie musi budzić niepokój fakt, iż na ogół poza te problemy nie wychodzą.

Zapytajmy dla przykładu, co mówią korespondenci o chłopskich odbior- cach książek? Na tym odcinku będzie- my mieli do czynienia wyłącznie ze zle rozumianą statystyką i sakramen- talnym oświadczeniem, że czytelnic- two wspaniale się rozwija. Tymczasem nawet przedstawiony przez korespon- dentów materiał poznałby do takich optymistycznych wniosków bynajmniej nie uprawniał.

Oto korespondencja zatytułowana — „Dobre prace biblioteka w Haźla- chnu”. Dowiadujemy się, że opisywana instytucja żyje „przede wszystkim za- sługą jej kierowniczki Emilii Jośkowej, która dzięki ołtarnej i sumiennej pracy zyskuje coraz więcej czytelników”. A jacy to czytelnicy? „...w większości spośród młodzieży”.

Korespondent z gromady Michnów pisze z entuzjazmem o działalności gminnej biblioteki w Suchedniowie (pow. Kielce). W sumie ponad 1.000 czytelników. Istotnie nieźle. Zle jed- nak, że autora korespondencji nie za- niepokoiło to, co sam stwierdził: „2/3 czytelników stanowią młodzież, a 1/8 dorosli”. Personal biblioteki jest bar- dzo uprzejmy i sprawnie obsługuje czytelników. Toteż do biblioteki spieszą wszyscy”. Jakże wszyscy, kiedy w nie- proporcjonalnie dużym procencie spie- szą młodzież, czytająca przecież nie tylko z chęci, ale i ze szkolnego obo- wiązku! Trudno zaiste o bardziej ja- skrawą sprzeczną w dwóch napisani- ach obok siebie zdaniach.

Podobny stan, polegający na nie- dostatecznym wciągnięciu w czytanie „dorosłych” stwierdziła znaczna część korespondentów, nie zdając so- bie sprawy, że nie jest to zjawisko op- tymistyczne. Uspiona jest czujność ko- respondentów i wyraźne niezrozumie-

nie zagadnienia czytelnictwa, skoro brak meldunków alarmujących i wzy- wających do akcji popularyzowania czytelnictwa wśród drobno i średnio- rolnych chłopów. Zle się dzieje, gdy korespondenci upajają się statystyką „jako taką”, nie wnioskując o układ kla- sowy czytelników, w dynamice rewolu- cji kulturalnej, w przyczynę jej hamo- wania.

Zauważyć można w koresponden- cjach daleko poważniejszy brak, i na ten brak należy zwrócić baczniejszą uwagę. Czytelnictwo bowiem ma swo- ją nie tylko ilościową stronę, ale także jakościową.

Jakże mało mówi nam fakt, że gminna biblioteka w Łapczycu liczy sobie 600 czytelników, a cały powiat Radziń posiada na terenie gromad i gmin 12.500 tomów. Z ilości tomów w bibliotece nie wynika mechanicznie liczba czytelników, a ta z kolei nie tłumaczy jeszcze społecznych skutków, płynących z zetknięcia się z książką. Tylko jeden korespondent na kilku- dziesięciu wymienił nazwiska produ- jących czytelników w gminie. A chcie- libyśmy widzieć przede wszystkim, jak- ie książki są czytane, i przez kogo, jak komentowane? Na ile zdobyła ser- cą czytelników współczesna powieść o walce klasowej na wsi, powieść przed- stawiająca socjalistyczną przebudowę wsi. Czujność i troska korespondenta musi się skupić przede wszystkim na czytającym człowieku. Popatrzmy na to, stawiane naszym terenowym współ- pracownikom, zadanie z innej strony.

Istnieje przecież coraz bardziej zwarta opinia gromady, ujawniająca się przy układaniu planów gromad- kich, czy w okresie skupu, kiedy to zmusiła opornego kulaka do poszono- wania prawa ludowego i wykonania obowiązków wobec państwa, przy na- dużyciach ze strony aparatu gospodar- czego, kiedy piętnuje spekulantów i biurokratów. Trzeba by teraz walczyć o powołanie do życia zbiorowej opinii naszego czytelnika o książce. Jest to sprawa ważna choćby dlatego, że pi- sarzowi i krytykowi literackiemu, wciąż jeszcze daleko do masowego odbiorcy książek. A wiemy, jak na przy- kład, wpływ czytelników radzieckich na rodzimą literaturę bywa do- nosliwy i skuteczny. Pisarze radziecy w oparciu o krytykę i rady masowego czytelnika, przerabiają często już na- pisane i piszą nowe utwory.

Stoi więc przed naszymi korespon- dentami trudne, odpowiedzialne i am- bitne zadanie — chwycić i opisywać przemiany, jakie zachodzą w świadomości i działaniu chłopskiego czytel- nika pod wpływem książki.

Wiesław Jażdżyński

Kto z kim ma prawo?

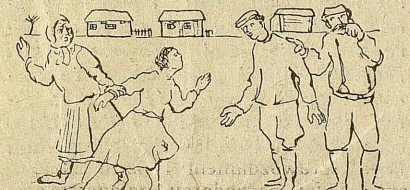
W poprzednim numerze wyczytalem w Gazecie Gminnej artykuł pt. „Nie nadsia się” i apel redakcji, aby napi- sać, czy u nas w okolicy też są tacy nauczyciele, co „schodzą w lud” i dlatego z chłopką się nie ożenią. W naszych stronach nie mogę tego po- wiedzieć o nauczycielstwie, ale mam kilka innych przykładów, z których wynika, jak na wsi ostro stoją, moż- na by powiedzieć — w walce — sprawy, kto z kim ma prawo się żenić. Stary konflikt polegał na tym, że za „pana” i bogatego gospodarza się nie wydasz. A teraz? Bywa jeszcze rozmawiać. Ale nawet, kiedy po stare- mu to już z pewną odmianą.

Na przykład. Jedna u nas robotnica rolna kocha się w synu „bogatego” chłopca. Rodzina jej odradza. Ona też się waha dlatego, że on ma „oprócz tego zawod w ręku, jest chemikiem w pobliskiej Przetwórni Owocowej”.

Inna znowu, też biedna, ma narze- czonego z zasobnej rodziny. Rodzice jej krzywo patrzą na ten mariaż. „Kiedys będzie ci wymawiał, że wziął biedną dziewczynę, czekaj na takiego, jak sama jesteś”.

Ala dziewczyna upewniła się w tym, że naręczony „mocno się zastano- wił” i „majakiem” ją nazywa, więc postanowiła wyjść za niego za mąż, bo i tak „jak dojdzie do spółdzielni produkcyjnych, to on nie będzie wię- czej znaczył ode mnie”.

A teraz z innej beczki. Młody le- śniczy i dziewczyna z malej gospo-



dzi się na leśniczego, hulakę i pija- ka, bo bracia „tego nie uważają”.

A znowu o dziewczynę, która do- chodzi do liceum, stara się chłopak od sąsiadów. Dziewczyna przeżywa konflikt ale jaki? On nie może, jak powiada — chwili żyć bez jej widze- nia, i przesiaduje całymi popołudnia- mi w domu jej matki. Dziewczyna więc z jednej strony niepokoi się o matkę „aby mu wstydny nie zrobić”, a z drugiej gotowa była już zrezy- gnować ze szkoły, aby małżeństwo nie przepadło. W tej sprawie sam byłem doradcą. Jemu rzekłem — nie przeszkadzaj dziewczynie, a jej — kończ liceum, a po tym się pobierzcie i zakładajcie... spółdzielnię produk- cyjną.

Stanisław Łopach

A w a n s e

Cheiałbym Was zapytać, dlaczego to gromada Tapadły (gm. Brojce) mogła w akcji jesiennej zorganizować zbiorową odstawę zboża i kartofli? Dlaczego mogła zakończyć wyko- nanie planów rocznych (zboże, kartofle, podatki, Pożyczka Narodowa) do 17 listopada? Dlaczego wypełniło plan kontraktacji trzody chlewnej na I i II kwartał 1952 r. z nadwyżką?

Dlatego proszę Was, że ma zes- pól aktywistów: Balcerzaka, prezesa Koła ZSL-u, Pietkiewicza, soltysa i przewodniczącego Koła ZSCH (teraz awansował na członka powiatowego zarządu ZSCH) oraz nauczycielkę Jabłońską, która w Kole Gospodyń wiele znać.

Jak się rozgładam po naszej oko- licy to aż serce rośnie. Tytu w je- siennej robocie pokazało się dziel- nych, ofiarnych i mądrych chłopów. I co najważniejsze, nie pozwoliliśmy na to, aby po pochwałach, odnacza-

niach i premiach zniknęli z powro- tem w krótkiej pamięci ludzkiej. Ta- ki Szymonik Jan z Woźnik, aktywny chłop maturalny został wybrany na zastępcę przewodniczącego GRN w Ryczowie. Mirocha Jan z Marcówki został Przewodniczącym GRN w Stry- szowie. Średniorolny chłop Rusin Wł. vice - przew. GRN w Wieprzu, Ryba J. z Kleczy, który doprowadził kon- traktację trzody chlewnej w swej gromadzie do 125 proc. za I i II kwartał 1952 r. został wybrany na walnym zjeździe prezesem powiato- wym ZSCH, Sikora Al., który swą aktywną pracą i walką z kulakami pociągnął gromadę do przedtermino- wego wykonania skupu, jest teraz instruktorem przy PKW ZSL-u.

Oj, mógłbym tak wylizać i wyliz- czać te awanse, w których chłopci na gminach i na wsiach widzą spełnia- nie się ludowladztwa.

Klemens Kleczko

A k t y w i s t a

Aktywista po mojemu to np. taki Jakubiec St. Nie dlatego, że przewo- dniczący Koła ZSL-u w Twardorzecze. Ale dlatego, że godny jest prezeso- wać Kola. Bo w aktywistach „musi coś siedzieć” mocniej niż u innych. U Jakubca — wiadomo — zdecydow- any zwolennik spółdzielczości! I to stanowi o jego sile i mądrości. W je- siennej akcji potrafił przez koło zmobi- lizować całą gromadę do kontrak- tacji trzody chlewnej tak, że plan kontraktacji został wykonany przez wies na cały rok 1952 z nadwyżką 14 sztuk.

A dlatego np. Mika Józef potrafił sam na swojej wsi Juszczyne zakon- traktować u chłopów aż 41 sztuk? Bo mierzynowie! I ludzie czują, że w nim „siedzi coś więcej”, niż u nich.

A taki Curylo Piotr. Jak on wy- szedł na aktywistę? Chłop był bez- partyjny i malorolny, ale z takich, co swego zrażenia nie ukrywają. To- też wypowiedział skargi i żale chło- pów na prezesa Koła ZSL-u w jego wsi Bożęcinie oraz na sekret. GRN i

sekr. GKW ZSL-u Gulika St. I miał rację. W rodzinie bogaczy Gulików pokazało się, że Gulik Jan tak mło- cił chłopom swoim agregatem, że 60 proc. ziarna zostało w stómie, co po- tem wyrzucił do swojego sąsiedka. Jak to wyszło na wierzeli to na zebraniu chłopcy wygrali mnie oskar- żenie: Bogacz Gulik, Oleksy, Wal- czak, Rębacz mają porozbijane grun- ta między członków swoich rodzin i dlatego świadczą na rzecz państwa mniej, niż im się należy. A znów prezesem Koła ZSL-u w Bożęcinie okazał się były sanacyjny officer. PKW zdjął jednego i drugiego fa- lszewego działacza i szkodnika. Wte- dy Curylo, który w akcji skupu na własną rękę prowadził energiczną a- gitację za przyspieszeniem sprzedaży, zgłosił wniosek o przyjęcie go w szere- gach ZSL-u. A w siedem dni później zorganizował nowe Koło ZSL-u w gromadzie Bieleca, gdzie dotąd nie było ani partyjnego, ani naszego ko- ła. PKW powołało go też zaraz na instruktora powiatowego.

Piotr Rochoi

Poprawa w Złobnej

Co dzień Nadobna wódeczka gości, Przeróżne gminne znakomitości. Nadobna gościmi bardzo zajęta — Jakże

Obsłużyć może klienta? Tłul spłuka klient I drzwiami trzaskają. „A to sklepowa mamy, Do diaska!”

Prezes ZSCH-a Wielbi Nadobną W księdze zażaleń Ktoś skargę skrobnął. Bardzo wzburzyła prezesa

Skarga: Ze ktoś — opinie Nadobnej — Szarga! Nieład na półkach Nieład w rachunkach (niemal „manco” Na pewno w trunkach!)

Rozładnił towarów — Gdzie? W magazynku (Często je spotkasz Potem — na rynku)

Ktoś się uzałil W PZGS-ie Jaka swawola W Złobnej — dzieje się. I oto — przyszło pismo żalobne: „Przerwać igraszk Julii Nadobnej”.

Irena Mazurkiewicz

Wszystkich pism, które w naszym piśmie, a począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejskie i miej- scy przyjmujący wpłaty na pre- numeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL Redaguje Komitet Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres re- dakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7 Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Sierbna 12, tel. 804-20 25

Tel. Red. Nacz. 727-88. Tel. Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 93 REDAKCJA NIE ZAMOWIANYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Kizyży 16, Chmielna 25.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 3.— zł, kwartalnie 9.—; półrocznie 18.—; rocznie 36.—; za- należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PRO Warszawa 1-6342 110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3 B 10988

WOJCIECH DRYGAS

KOESPONDENCI O FILMACH

KOESPONDENT—czytamy barometr terenu — odnotowywał w swym notatniku przemierzając szeroko przez wieś ofensywę kulturalną. Po- czątkowo była to nowoorganizowana świetlica, w jakiś czas potem powstał z radością otwarcie stałej biblioteki gromadzkiej, ostatnio widzieliśmy go, jak rozbiegał wśród chłopów chłopskich kabel miejscowego radiowęzła; dzisiaj obwieszcza: „Przyjechało do nas kino na kółkach”.

Zdarzenie oddziało zbyt silnie, aby po wykrzykniku odłożyć pióro, zgasić lampę i położyć się spać. Ko- respondent przelewa na papier dłu- gi rejestr niepospógowanych jesz-



Rys. H. Ja: oz

cze i nieprzemysłanych szczegółów, w którym nie brak „mechanika kino- wego ze socjalistycznym stosunkiem do pracy”, „ludmów”, co się nawet przy pomocy ochotniczej straży po- żarnej nie mogły pomieścić w nie- wielkiej sali świetlicowej”, „nerwowo- go podniecenia, gdzieś kole dotka”, a także „lamentu straszliwego Ku- bioczek, która nie mogła patrzeć ze spokojem, jak te krwiopijce-amery- kanec mordują dzieci, na Korei” i wreszcie pochwały filmu Polskiego z małą dedykacją, „aby przyjechał jak najwcześniej, bo my będziemy go ka- żdej niedzieli wypatrywać na drodze”.

Oto — traktując rzecz z grubszą — klasyczna korespondencja z terenu po pierwszej udanej wizycie kina objazdowego w gromadzie. Czyta się ją ze zrozumiałym wzruszeniem.

Lecz nie jest to jeszcze list — jakie- goś oczekujemy. Poza wszechstronną i ze wszelkim miar budującą charakte- rystyką osoby mechanika, tlokiem w sali i „nerwami kole dotka” — inte- resuje nas coś więcej. W głębokim przekonaniu, że korespondent po „oswojeniu się” z techniką i orga- nizacją spektaklu — ołsi nas nową, niespotykaną dotąd problematyką — oczekujemy następnych listów.

Owszem, napływają — setki listów, lecz pomijamy na nich pozostałe cał- kowicie dziedzinę wychowawczą fil- mu.